





Radosnych, pełnych wiary, rodzinnego ciepła  
i miłości Świąt Bożego Narodzenia.  
Wszelkiej pomyślności w nadchodzącym 2025 roku  
wszystkim Czytelnikom życzy  
zespół redakcyjny EKOgadki  
oraz zarząd i pracownicy grupy KOM-EKO.



### Szanowni Czytelnicy!

Oddajemy w Państwa ręce nowy, zimowy numer EKOgadki. Najzimniejsza z pór roku niezbyt hojnie śnieżną aurą obdarza, ale niezmiennie czas Świąt Bożego Narodzenia i sylwestrowej nocy budzi nadzieję i pozwala spojrzeć z dystansem na dni naszych zabieganie. To również czas noworocznych postanowień. Być może impulsem doń będzie dla niektórych rozmowa z prezesem Lubelskiego Klubu Morsów? Gorąco polecamy lekturę niezwyklego wywiadu z Janem Kondrakiem, twórcy lubelskiego księstwa piosenki literackiej. Zachęcamy do tradycyjnego spaceru z zaprzyjaźnionym archeologiem, który odkryje przed nami tajemnicę zamkowego wzgórza. Nie zabraknie też akcentów świątecznych, informacji o działalności i planach Grupy KOM-EKO oraz wieści dla miłośników przyrody i ekologii. Miłej lektury!

**Redakcja**

**JAN  
KONDRAK**  
str. 38

#### **POLECAMY:**

KOLĘDOWANIE	28
MORS	50
FELIETON	64
PAPUGI	70





## Kalendarium Kom-Eko

Minione tygodnie to przede wszystkim ogrom codziennej, efektywnej, choć nie zawsze efektownej pracy, ale również kilka wartych przypomnienia zdarzeń:

**14-16  
października  
2024**

Grupa KOM-EKO uczestniczyła w dorocznych Międzynarodowych Targach Ochrony Środowiska POLECO w Poznaniu. Stoisko, które w ramach Grupy przygotowała LAOŚ było miejscem wielu owocnych spotkań biznesowych.

**24  
października  
2024**

Pracownicy Grupy KOM-EKO służyli swoją wiedzą merytoryczną podczas zorganizowanej w Chełmie publicznej debaty „Odpady to nie śmieci - to szansa, którą możesz wykorzystać”.

**1 listopada  
2024**

Rozpoczęcie przez Zakład Oczyszczania i Zakład Robót Drogowych KOM-EKO kolejnego sezonu zimowego mechanicznego i ręcznego oczyszczania ulic, chodników i placów miasta Lublin.

**6-7 listopada  
2024**

Udział przedstawiciela KOM-EKO w konferencji „LiuGong 2024 Customer Event Days” w Liuzhou w Chinach.

**15 listopada  
2024**

Prezydent Miasta Lublin wydał spółce KOM-EKO decyzję o środowiskowych uwarunkowaniach dla przedsięwzięcia polegającego na budowie instalacji termicznego przekształcania frakcji kalorycznej z odpadów komunalnych w Lublinie, na działce o numerze ewidencyjnym 139/29 (obręb Zadębie II) przy ul. Metalurgicznej w Lublinie.

**listopad 2024**

Grupa KOM-EKO zdecydowała się na objęcie formułą Sustainability-Linked Loan kredytów udzielanych przez mBank.

**listopad 2024**

Budowa magazynu na sól i piasek dla Zakładu Robót Drogowych KOM-EKO na terenie spółki Ekopak. Magazyn o pojemności 1000 Mg wyposażony jest w ściany oporowe z bloków betonowych typu LEGO oraz zadaszenie z powłoki PVC.

**4 grudnia 2024**

W KOM-EKO wybrano wymaganych prawem przedstawicieli pracowników na potrzeby współpracy z Pracodawcą m.in. w sprawach bhp i działalności socjalnej, w osobach: Beaty Groen, Jacka Wasaka i Tomasza Trybalskiego.



## „Zielone” finansowanie dla KOM-EKO

Grupa KOM-EKO w swojej strategii inwestycyjnej i finansowej zdecydowała się na objęcie formułą Sustainability-Linked Loan kredytów udzielanych przez mBank. Sustainability-Linked Loan to „zielone” rozwiązanie, w którym wysokość marży kredytu powiązana jest z realizacją celów w zakresie zrównoważonego rozwoju przedsiębiorstwa w obszarach środowiskowym, społecznym i ładu korporacyjnego (ESG).

Transakcja ta podkreśla znaczenie zrównoważonego rozwoju w Grupie i opiera się na kluczowych wskaźnikach, jakimi są: zwiększenie wolumenu odpadów poddanych procesowi recyklingu i odzysku, redukcja emisji CO<sub>2</sub> dzięki wykorzystaniu paliwa alternatywnego wyprodukowanego w Grupie KOM-EKO, modernizacja floty samochodów osobowych i ciężarowych, zwiększenie poziomu zaangażowania pracowników, a także wprowadzenie Kodeksu ESG dla dostawców.



## Decyzja środowiskowa dla ITPOK

Informujemy, że 15 listopada 2024 r. Prezydent Miasta Lublin wydał po rozpatrzeniu wniosku spółki KOM-EKO decyzję o środowiskowych uwarunkowaniach dla przedsięwzięcia polegającego na budowie instalacji termicznego przekształcania frakcji kalorycznej z odpadów komunalnych w Lublinie, na działce o numerze ewidencyjnym 139/29 (obręb Zadębie II) przy ul. Metalurgicznej w Lublinie.

Planowana inwestycja zostanie zrealizowana w oparciu o sprawdzoną technologię spalania oraz odzysku ciepła, wyposażoną w wydajną instalację do oczyszczania spalin z niezbędną infrastrukturą. Jej przepustowość określono na 60 250 Mg/rok. Instalacja ma zostać przystosowana do odzysku energii w wyniku procesu termicznego przekształcania paliwa wytworzonego na bazie pozostałości z sortowania odpadów komunalnych o wartości opałowej w zakresie od 8 do 13 MJ/kg.



NATALIA KASAK



EKO GADKA NR 29 - ZIMA 2024

## Grupa KOM-EKO na POLECO 2024



Międzynarodowe Targi Ochrony Środowiska POLECO od lat kojarzone są jako miejsce zrzeszające liderów w branży z zakresu szeroko rozumianej ochrony środowiska. To tutaj prezentowane są innowacyjne rozwiązania, będące odpowiedzią na rosnące potrzeby rynku w zakresie gospodarki komunalnej, recyklingu, gospodarki o obiegu zamkniętym, zmieniających się wciąż wymagań prawa i wielu innych.

Niezmiennie, oprócz oferty wystawienniczej, uzupełnieniem tego wydarzenia były liczne konferencje, wykłady i debaty z udziałem ekspertów. Na dwóch scenach mogliśmy wysłuchać prelekcji, które kompleksowo omówiły kluczowe i najbardziej aktualne zagadnienia związane z branżą, w której funkcjonujemy na co dzień.

Podobnie jak w ubiegłym roku, mieliśmy przyjemność znaleźć się w gronie wystawców

FOTO: Z archiwum LAOŚ.

POLECO. Nasze stoisko cieszyło się ogromną popularnością. Gościliśmy wielu z naszych stałych kontrahentów, jak również nawiązaliśmy sporo nowych kontaktów biznesowych. Dzięki zastosowanym elementom multimedialnym mogliśmy zaprezentować pełen wachlarz usług, które oferujemy jako Grupa KOM-EKO.

Tegoroczna edycja targów POLECO była dla nas wyjątkowo uroczystym wydarzeniem, ponieważ zbiegła się z obchodami jubileuszów trzech spółek z grona Grupy KOM-EKO. Swoje trzydziestolecie obchodziły: KOM-EKO S.A. oraz Lubelska Agencja Ochrony Środowiska S.A. Dziesięciolecie założenia działalności obchodziła spółka Ekopaliwa. Z tej okazji zorganizowaliśmy uroczysty bankiet, który był zwieńczeniem obchodów tych niecodziennych rocznic. Wszystkim przybyłym gościom serdecznie dziękujemy za obecność i możliwość wspólnego uczczenia tego wyjątkowego dla nas czasu.

Dziękujemy również wszystkim tym, którzy zaszczytili nas swoją obecnością i odwiedzili nasze stoisko.

**Oby ten czas zaprocentował nowymi możliwościami współpracy!**





FOTO: Z archiwum Kom-Eko.

## LiuGong 2024 Customer Event Days

Grupa KOM-EKO korzystająca w swoich instalacjach ze sprzętu załadowczego firmy LiuGong została zaproszona na konferencję „LiuGong 2024 Customer Event Days”. Impreza, która miała miejsce 6 i 7 listopada w siedzibie firmy w Liuzhou w Chinach była okazją do zapoznania się z szeroką ofertą maszyn w zakresie ciężkiego sprzętu, w tym najnowszych modeli pojazdów elektrycznych oraz napędzanych silnikami Diesla nowej generacji. Konferencja zgromadziła blisko 1 000 gości z całego świata dając możliwość wymiany doświadczeń w zakresie użytkowania i serwisowania sprzętu niezbędnego dla utrzymania ciągłości pracy instalacji przetwarzających odpady.



WIADOMOŚCI Z EKOPALIW MARLENA SZODA



FOTO: Za zgodą EKOPALIWA.

## Zakup taśmociągu mobilnego

Pod koniec października 2024 r. w ramach modernizacji Zakładu Produkcji Paliwa RDF spółka EKOPALIWA CHEŁM sfinalizowała kolejną inwestycję - zakup mobilnego taśmociągu. Jej celem było zwiększenie efektywności operacyjnej linii produkcyjnej oraz poprawa logistyki dostaw paliwa alternatywnego do cementowni. Specjalnie zaprojektowane urządzenie wspiera proces mieszania paliw alternatywnych, co pozwala na lepsze dostosowanie się do parametrów jakościowych wymaganych przez Cementownię Cemex. Zastosowanie urządzenia umożliwia nam również przyjmowanie paliwa z zewnątrz i jego bezpośrednie podanie do dalszego procesu, co znacząco poprawia ciągłość dostaw. W praktyce pozwala nam to transportować paliwo alternatywne do cementowni nawet w trakcie postojów technologicznych.

## Publiczna debata

24 października 2024 r. w Bibliotece Publicznej w Chełmie odbyła publiczna debata pod hasłem „Odpady to nie śmieci - To szansa, którą możesz wykorzystać”. Spotkanie stanowiło część kampanii edukacyjnej skierowanej do mieszkańców Chełma, prowadzonej przez Cemex Polska. W gronie ekspertów obok Tadeusza Radzięciaka, dyrektora Cementowni Chełm i członka zarządu Cemex Polska, oraz przedstawicieli Stowarzyszenie Producentów Cementu, Zero Waste Lublin i MPGK Chełm znaleźli się również reprezentujący Grupę KOM-EKO Grzegorz Czop i Paweł Zgardziński. W ich wystąpieniach nie zabrakło informacji o praktycznych aspektach wdrażania gospodarki o obiegu zamkniętym oraz o tym jak paliwa alternatywne RDF pomagają zmniejszyć ilość składowanych odpadów oraz przyczyniają się do ograniczenia emisji CO<sub>2</sub> i oszczędności paliw kopalnych. Dla licznie zgromadzonej publiczności spotkanie było okazją do uzyskania odpowiedzi na wiele pytań związanych z ochroną środowiska.

WIEŚCI Z KRAŚNIKA KAROLINA BIENIEK



## Samorządowcy z wizytą w spółce Ekoland

W listopadzie przedstawiciele gmin Urzędów, Dzierzkowice oraz miasta partnerskiego Kaba z Węgier mieli okazję odwiedzić zakład zagospodarowania odpadów Ekoland. Wizyta miała na celu wymianę doświadczeń oraz zapoznanie się z innowacyjnymi rozwiązaniami w zakresie segregacji odpadów i kompostowania. Goście mieli okazję poznać procesy technologiczne stosowane w instalacji, a także dowiedzieć się, jak firma przyczynia się do redukcji odpadów oraz promowania recyklingu. Był też czas na dyskusję o tym jakie zmiany w systemie gospodarowania odpadami czekają nas w przyszłym roku, jakie są w tym zakresie cele stawiane przez Unię Europejską oraz co Ekoland oraz samorządy mogą wspólnie zrobić by te cele osiągnąć.



FOTO: Z archiwum Ekoland.



## Noś Odblaski, Świeć Przykładem

Firma Ekoland, we współpracy z Policją w Kraśniku oraz Stowarzyszeniem Rozwoju i Bezpieczeństwa, wzięła udział w corocznej akcji „Noś Odblaski, Świeć Przykładem”. Jej celem jest upowszechnianie zwyczaju zakładania elementów odblaskowych. Nawet najmniejszy z element odblaskowy powoduje, że pieszy jest widoczny dużo wcześniej dla nadjeżdżającego samochodu. W ramach akcji odwiedziliśmy szkoły i przedszkola na terenie powiatu kraśnickiego upowszechniając tę wartościową wiedzę wśród dzieci oraz ich opiekunów. Naszą misją było nie tylko rozdanie około 1000 odblasków, ale także uświadomienie, jak ważne jest ich noszenie po zmroku, by zwiększyć bezpieczeństwo pieszych i kierowców.

## Ekoland – lider edukacji ekologicznej

W obliczu rosnących problemów związanych z ochroną środowiska, firma Ekoland podejmuje szereg inicjatyw mających na celu promowanie ekologicznych postaw wśród najmłodszych. W ostatnim czasie zrealizowaliśmy cykl warsztatów edukacyjnych w lokalnych szkołach, skierowanych do uczniów klas pierwszych, drugich i trzecich. Nasze działania cieszą się ogromnym zainteresowaniem zarówno wśród dzieci, jak i nauczycieli, którzy dostrzegają wartość w przekazywaniu wiedzy ekologicznej. Jednym z kluczowych elementów warsztatów jest praktyczna nauka segregacji odpadów. Dzieci mają możliwość zweryfikować swoje umiejętności, ucząc się, jak prawidłowo klasyfikować ich różne frakcje. Dzięki interaktywnym ćwiczeniom, uczniowie nie tylko przyswajają teoretyczną wiedzę, ale także rozwijają pozytywne nawyki, które będą towarzyszyć im w codziennym życiu.



# Kilka słów o termicznym przekształcaniu odpadów



MACIEJ OSYSKO

## Wokół instalacji termicznie przetwarzających odpady funkcjonuje wiele mitów, które stały się już legendami miejskimi.

W Polsce od lat trwa dyskusja dotycząca planowanych do wybudowania instalacji termicznego przekształcania odpadów, powszechnie nazywanych spalarniami śmieci. Ta ostatnia nazwa wprowadza w błąd, bo zakłada chęć unieszkodliwienia odpadów przez ich spalanie jako główny powód tych planów. Tymczasem celem tego typu instalacji jest nie tylko spalanie, ale poddanie procesowi odzysku energii frakcji resztkowych pochodzących z przetwarzania odpadów komunalnych, które nie nadają się do tego, by dać im drugie życie w procesach recyklingu. Takie instalacje są stabilnym i bezpiecznym źródłem pozyskiwania energii wspomagając lokalne sieci ciepłownicze i krajowy system energetyczny. Dobrym przykładem może być Japonia, kraj o najdłuższej średniej czasie życia mieszkańców, gdzie takich zakładów funkcjonuje około 2000. Tymczasem w Polsce istnieje ich tylko 9, 2 są w fazie rozruchu, a w budowie są 3 kolejne.

Statystyczny Polak w 2023 roku wytworzył 356,7 kg odpadów komunalnych. Oznacza to, że wytworzyliśmy ich łącznie ok. 13,4 mln ton. Ten rosnący z roku na rok wolumen powinniśmy zredukować budując spójny i kompleksowy system gospodarowania odpadami. Po pierwsze powinniśmy dążyć do minimalizacji powstawania odpadów, po drugie powinniśmy doprowadzić do wzrostu odsetek odpadów które będą poddawane procesom odzysku i recyklingu. I tu pojawia się problem dotyczący jakości surowców (odpady nie mogą być zanieczyszczone), a także zapotrzebowanie rynku na taki produkt. Po trzecie musimy w perspektywie roku 2035 ograniczyć składowanie odpadów do maksimum 10%. To chyba jedno z większych wyzwań w odniesieniu do możliwości naszego systemu gospodarowania odpadami. By osiągnąć ten cel konieczne jest dopełnienie systemu przez instalacje termicznie przetwarzające odpady, które nie nadają

się do recyklingu a jednocześnie chcemy uniknąć ich składowania.

Wokół instalacji termicznie przetwarzających odpady funkcjonuje wiele mitów, które stały się już legendami miejskimi. Mity te funkcjonują w przestrzeni publicznej i stały się swego rodzaju prawdą objawioną, której nikt nie chce nawet sprawdzać u źródła.

Pierwszy z nich dotyczy uciążliwości funkcjonujących instalacji dla otoczenia. Jeżeli ktośkolwiek zadałby sobie trud wizyty na funkcjonującym obiekcie szybko zmieniłby zdanie. Wszystko związane jest z funkcjonowaniem punktu przyjęcia i czasowego magazynowania odpadów. Rozładunek odbywa się w zamkniętej hali, a powietrze z przestrzeni hali rozładunkowej i magazynu (nazywanego najczęściej bunkrem) jest zasysane do spalania. W tej strefie panuje podciśnienie, także nic nie wydostaje się na zewnątrz. W czasie postoju powietrze jest oczyszczane za pomocą biofiltrów lub filtrów z węglem aktywnym. Nie ma też chmur owadów, bo w odpadach do termicznego unieszkodliwienia nie ma dla nich pożywienia, a samo paliwo jest przechowywane niezwykle krótko, nie dłużej niż 5 dni.

Kolejny to temperatura spalania. W wielu przypadkach powtarzana jest nieprawdziwa informacja o prowadzeniu procesu spalania w temperaturze 850°C. Mamy tu do czynienia z pomieszaniem kilku faktów. Temperatura panująca w komorze spalania to nawet 1400°C, a 850°C to dodatkowy wymóg utrzymania temperatury spalin przez co najmniej 2s po podaniu tzw. powietrza wtórnego, tak aby doszło do rozpadu potencjalnie szkodliwych substancji.

Spalarnie to stara technologia. To prawda, spalanie towarzyszy ludziom od tysięcy lat, ale historia współczesnych zakładów to lata siedemdziesiąte XX w. W Polsce pierwsza spalarnia powstała w 1912 r. w Warszawie, a kolejna w 1929 r. w Poznaniu. Historię tej technologii można porównać do dziejów samochodu elektrycznego, który dziś uważany jest za wytwór współczesnej technologii, podczas gdy jego historia sięga lat siedemdziesiątych XIX w. Oczywiście zawsze można powiedzieć, że to nie jest już ten sam samochód, ale to samo dotyczy technologii spalania odpadów. Obecnie powstające instalacje są naspikowane najnowszymi rozwiązaniami, a coraz częściej ich funkcjonowanie wspiera sztuczna inteligencja.

Na zachodzie odchodzi się od tej technologii. To nieprawda. Wciąż buduje się nowe instalacje zastępujące istniejące źródła energii oraz modernizuje starsze instalacje, jak w przypadku zakładu Wien Energie w dzielnicy Wiednia Spittelau, która przeszła gruntowną modernizację w 2012 r.

Spalarnie emitują zanieczyszczenia, w tym dioksyny i furany. To tylko częściowo prawda. Tak, spalarnie, jak każde źródło energii oparte o spalanie paliwa stałego jest źródłem emisji. Jednak trzeba zwrócić uwagę, że poziomy tych emisji są nieporównywalnie niższe porównując do źródeł konwencjonalnych (np. węglowych). Odpowiada za to pełna automatyka procesu, wielostopniowe systemy oczyszczania spalin, a także system kontroli emisji, który w trybie ciągłym monitorują gazy odlotowe. Tymczasem typowe elektrociepłownie są badane okresowo. W przypadku emisji dioksyn i furanów system oczyszczania spalin i odpowiednia temperatura spalin skutecznie redukuje ilość dioksyn do poziomu 10 krotnie niższego niż wymagane poziomy emisji. Dla porównania, warto wiedzieć, iż jeden niekontrolowany pożar składowiska odpadów



FOTO: Termiczne instalacje przetwarzania odpadów w miastach. Adobe Stock.

skutkuje emisją porównywalną z sumą emisji właściwej dla kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu lat normalnej pracy spalarni odpadów. W jednym normalnym metrze spalin z grilla jest 4,4 mln razy więcej dioksyn niż w tej samej objętości spalin ze spalarni. Największym producentem tych substancji są gospodarstwa domowe (ponad 60% krajowej emisji), podczas gdy istniejące spalarnie łącznie, to zaledwie 0,02%.

Mieszkańcy nie mają żadnych korzyści z takiego zakładu. To nieprawda. Ciepło produkowane w instalacjach termicznego przekształcania w Polsce jest znacznie tańsze niż to produkowane z węgla lub gazu, a dynamika wzrostu cen jest w tym przypadku dużo niższa. Potwierdzają to coroczne publikacje Urzędu Regulacji Energetyki. Dodatkowo w wyniku kogeneracji gmina (czyli pośrednio mieszkańcy) może korzystać na podstawie odpowiednich umów z tańszej energii elektrycznej. W przypadku Szczecina taka współpraca przyniosła miastu w 2023 r. ok. 8 mln PLN oszczędności.

Wytwarzane żużle są toksyczne. To nieprawda. Żużle ze spalarni są materiałem wykorzystywanym do produkcji mieszanek kruszyw do budowy dróg. W Polsce dzieje się to od lat. W przypadku spalarni z Poznania tylko 3% wagi strumienia odpadów poddanych termicznemu unieszkodliwianiu trafia do składowania. Oznacza to, że odpady w 97% są wykorzystywane

najpierw do produkcji energii, a pozostałości do innych procesów technologicznych. Praktycznie nic się nie marnuje.

Ze względu na konieczność uregulowania tej tematyki w ramach Unii Europejskiej został opracowany dokument BAT (Best Available Techniques) gdzie wskazano sprawdzone w wieloletnim funkcjonowaniu techniki i rodzaje urządzeń do powszechnego stosowania w zakładach termicznego przekształcania odpadów. Dzięki temu, w sposób ustrojowy, wprowadzono ujednolicone i rygorystyczne wymogi dla funkcjonujących i nowopowstających instalacji. Dodatkowo cyklicznie wydawane są tzw. konkluzje BAT, które okresowo zaostrzają wcześniej określone normy. Na bieżąco są one implementowane do prawa krajowego i stają się obowiązujące w naszym kraju.

W Europie obecnie funkcjonuje ponad 500 tego typu instalacji. Wytwarzają ok. 10% ciepła systemowego. Pomagają w domknięciu systemu gospodarki odpadowej. Nie kłócą się z możliwością osiągnięcia wymaganych poziomów odzysku, jak w przypadku Niemiec, gdzie odzysk surowców już wynosi ponad 65% a na składowiska trafia tylko ok. 1% odpadów.



FOTO: Termiczne przetwarzania odpadów w miastach. Adobe Stock.

## EKOTEMATY DR ADAM LESIUK

# Tekstyli - selektywny ból głowy

Nowy Rok zbliża się wielkimi krokami, jedni myślą jak go miło i wystrzałowio przywitać, a inni... jak zaplanować i rozszerzyć system w zakresie segregacji odpadów. Od 1 stycznia 2025 roku w życie wejdą zasady, które spowodują, że każda gmina będzie miała obowiązek selektywnej zbiórki odpadów tekstylnych. Według ustawy zbieranie tekstyliów to również zbieranie w selektywny sposób nie tylko zużytej odzieży, ale także takich odpadów jak: buty, koce, pościel, zasłony, kapelusze, obuwie czy dywany.

A problem odpadów tekstylnych jest duży, bo w samej UE powstaje ich około 12,6 mln ton rocznie, a samego obuwia i odzieży – 5,2 mln ton odpadów, co odpowiada 12 kg odpadów tekstylnych na osobę. Wprowadzone zmiany w prawie nie wymagają wprowadzenia do systemu nowych pojemników. Minimum, jakie gmina będzie zobowiązana zapewnić, to zbiórka odpadów tekstylnych w tzw.: Punktach Selektywnego Zbierania Odpadów Komunalnych (PSZOK-ach).

Problem zagospodarowania zużytych tekstyliów jest bardzo złożony. Z jednej strony postuluje się zwiększenie poziomu recyklingu i powtórnego użycia tekstyliów, a z drugiej sam skład i różnorodność tkanin ten recykling bardzo utrudnia, wręcz uniemożliwia. Bo tekstylia nie są jednorodne i najczęściej składają w różnych procentach z materiałów naturalnych, syntetycznych oraz z tworzyw sztucznych, a branża recyklingowa nie jest przygotowana do nowego obowiązku. Obecnie rzeczywisty recykling mechaniczny odzieży jest marginalny i wynosi ok. 1% zebranych odpadów tekstylnych. Postulowane ponowne użycie często dość zużytych ubrań też jest ograniczone. Nie pozostaje nam nic innego jak odzyskać energię z zebranych tekstyliów (jako paliwa RDF do spalarni i cementowni) i wydaje się, że przez następną dekadę to będzie główny kierunek zagospodarowania zebranej zużytej odzieży. To jest dużo bardziej odpowiedzialne rozwiązanie niż wysyłanie kolejnych statków

tekstyliów do ubogich krajów Afryki czy Azji pod hasłem pomocy humanitarnej.

Rozszerzenie systemu o kolejną zbieraną frakcję będzie trochę uciążliwa dla mieszkańców. A to dlatego, że w większości gmin mała liczba i duża odległość do funkcjonujących Punktów Selektywnego Zbierania Odpadów Komunalnych (PSZOK-ów) sprawia, że nie bardzo chcemy wozić wytworzone odpady. Obecnie do PSZOK trafiają stosunkowo niewielkie ilości odpadów tekstylnych, bo w większości znajdują się one w odpadach zmieszanych lub pojemnikach na tworzywa sztuczne. Niektóre gminy chcą oprzeć system o selektywne zbieranie (2 lub 3 razy do roku) do otrzymanych worków co na pewno zwiększy ilość selektywnie zebranych tekstyliów. Tylko czy w sposób istotny wpłynie to na ich zwiększony recykling tak ważny dla gminy? Tego dowiemy się pewnie pod koniec 2025 roku, ale mam uzasadnione obawy, że niewiele się zmieni.

Podsumowując, statystyczny Europejczyk co roku kupuje około 26 kilogramów ubrań, z czego obecnie aż 87 % jest albo spalanych, albo składowanych na wysypiskach. Doskonale wiemy, że przemysł tekstylny ma bardzo negatywny wpływ na otaczające środowisko również na etapie produkcji. Według danych szacunkowych produkcja tekstyliów odpowiada za około 20 % globalnego zanieczyszczenia wody, co jest skutkiem używania barwników oraz wielu innych szkodliwych związków chemicznych przy produkcji włókien. Według WWF do produkcji bawełnianego T-shirtu, potrzeba 2,7 tys. litrów, a pary jeansów 10 tys. litrów wody. Może warto pomyśleć o umieszczeniu wśród postanowień noworocznych to dotyczące ograniczenia zakupów odzieży? Czy następna nowa koszulka lub spodnie jeansowe są nam na pewno niezbędne w 2025 roku? Zachęcam do wydłużenia czasu użytkowania tych starszych z 2024 roku, a zaoszczędzone środki finansowe przeznaczymy na inne przyjemności mniej obciążające środowisko.

**dr Adam Lesiuk**

Wydział Nauk o Ziemi i Gospodarki  
Przestrzennej UMCS w Lublinie  
Fundacja dla Przyrody





# Rok udany, pełen wyzwań

O mijającym roku i planach na przyszłość rozmawiamy z **Tomaszem Płociennikiem**, członkiem Zarządu KOM-EKO S.A.

**Za nami kolejny 2024 r. Rok, szczególnie, bo jubileuszowy dla KOM-EKO, Lubelskiej Agencji Ochrony Środowiska i EKOPALIW. Jaki był dla Grupy KOM-EKO?**

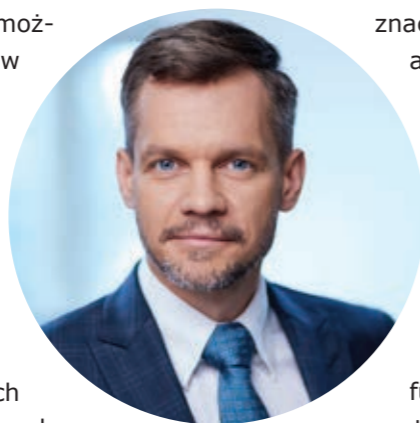
Miniony rok był dla Grupy KOM-EKO korzystny pod względem rynkowym i pełen wyzwań związanych z nowymi inwestycjami. Na wyniki Grupy pozytywnie wpłynęło odbicie konsumpcji gospodarstw domowych co przekłada się na wzrost wolumenu odpadów w gospodarce. Mogliśmy również zaobserwować ożywienie w zakresie produkcji cementu co umożliwiło zwiększenie produkcji paliw alternatywnych RDF i zagospodarowanie odpadów z przetwarzania nie nadających się do składowania lub dalszego odzysku. Jako Grupa spodziewamy się rekordowych przychodów w 2024 roku, przekraczających 300 mln PLN, co stawia nas w gronie największych krajowych podmiotów zajmujących się gospodarką odpadami. Myślę, że jest to wspaniałe, jubileuszowe zwieńczenie ciężkiej pracy poszczególnych spółek Grupy.

**Działamy w określonym otoczeniu gospodarczym i prawnym, jak wpływa ono na prowadzoną działalność?**

Krajowe regulacje dotyczące gospodarki odpadami ulegają ciągłym zmianom co pozostaje jednym z największych wyzwań dla podmiotów z branży. Ciągłe zmieniająca się legislacja wymaga nieustannych inwestycji oraz

dostosowywania procesów przetwórczych i procedur organizacyjnych.

Jednym z takich wyzwań jest wdrożenie systemu kaucyjnego. Dotychczasowe rozwiązania prawne dotyczące systemu nie uwzględniały potrzeby równoległego wdrożenia systemu rozszerzonej odpowiedzialności producenta (tzw. ROP), zgodnie z którym to producenci wprowadzający opakowania na rynek finansują koszty systemu ich zbiórki. Wdrożenie systemu kaucyjnego w obecnym kształcie, bez systemu ROP,



znacząco utrudni gminom realizację ambitnych celów w zakresie recyklingu odpadów i może przyczynić się do wzrostu opłat dla mieszkańców. Niedawną decyzję dotyczącą opóźnienia wdrożenia systemu kaucyjnego oceniam pozytywnie, choć wciąż może to być za mało czasu na ustalenie szczegółów funkcjonowania systemu. Wg raportu Deloitte, wdrożenie systemu może kosztować nawet 37 mld PLN w ciągu dekady – tak duży program wymaga odpowiedniego przygotowania merytorycznego i nie ma tu miejsca na pochopne decyzje.

Kolejnym wyzwaniem dla całej branży, w tym dla Grupy KOM-EKO, jest konieczność dostosowania się do wymogów unijnych w zakresie ilości odpadów trafiających na składowiska. Kraje unijne zobowiązane są do zagwarantowania, że w 2035 roku nie więcej niż 10% odpadów komunalnych zostanie zeskładowanych (w 2023 roku

w Polsce składowano wciąż ok. 30%). Strategia Grupy adresuje to wyzwanie poprzez rozwój projektów WtE (Waste to Energy, instalacje termicznego przekształcania odpadów). Planujemy budowę dwóch takich elektrociepłowni, które nie tylko ograniczą ilość odpadów na składowiskach, ale będą miały korzystny wpływ na obniżenie emisji dwutlenku węgla i pyłów do atmosfery poprzez zastąpienie węgla bardziej ekologicznym paliwem jakim są odpady.

Na koniec dodam, że sytuacja geopolityczna jest wciąż niestabilna, wliczając w to kontynuację konfliktu za naszą granicą i eskalację w innych częściach świata. Wierzymy jednak, że nasz model biznesowy opierający się na zdywersyfikowanej działalności, wysokiej jakości świadczonych usług i mocnych fundamentach finansowych będzie w stanie oprzeć się wszelkim negatywnym wahaniom koniunkturalnym.

**Grupa KOM-EKO niezmiennie prowadzi procesy inwestycyjne...**

Najważniejszą inwestycją Grupy w 2024 roku była budowa kompostowni na odpady zielone i kuchenne bio w Kraśniku. Instalacja pozwala przetworzyć ok. 30 tys. ton odpadów rocznie i pozytywnie przyczynia się do realizacji celów Gospodarki Obiegu Zamkniętego (GOZ). Równoległe do inwestycji w Kraśniku, Grupa prowadziła nieustanne modernizacje pozostałych zakładów oraz inwestowała w nowe środki transportu.

W 2024 roku Grupa wydała na inwestycje w majątek trwały blisko 60 mln PLN. Wydatki te są niezbędne celem spełnienia rygorystycznych norm środowiskowych, zapewnienia bezpieczeństwa i higieny pracy oraz utrzymania konkurencyjności Grupy KOM-EKO na tle innych podmiotów w branży. Jak wspominałem wcześniej, dużym wyzwaniem inwestycyjnym w kolejnych latach będą nakłady związane z budową spalarni odpadów komunalnych.

**Grupa KOM-EKO obok działalności, przykłada też dużą wagę do wymiaru społecznego i środowiskowego swojej działalności...**

Kwestie związane z ochroną środowiska, relacjami społecznymi oraz ładem korporacyjnym pozostają dla nas wysokim priorytetem. Dowodem na to jest pozyskanie finansowania w oparciu o wskaźniki zrównoważonego rozwoju wynikające wprost z naszej strategii ESG. Wskaźniki te dotyczą zwiększenia ilości odpadów poddanych

procesowi recyklingu i odzysku, redukcji emisji CO<sub>2</sub> dzięki produkcji paliwa alternatywnego, modernizacji floty samochodów osobowych i ciężarowych, zwiększenia poziomu zaangażowania pracowników a także wprowadzenia Kodeksu ESG dla dostawców. Myślę, że jesteśmy pierwszym podmiotem z branży, którego finansowanie powiązane jest ze strategią ESG.

Niezmiennie wspieramy lokalną społeczność m.in. poprzez sponsoring legendarnego obiektu jakim jest Muszla Koncertowa w Ogrodzie Saskim oraz wsparcie drużyny żużlowej Motor Lublin, która w tym roku po raz trzeci z rzędu sięgnęła po tytuł mistrzów Polski.

Nasze spółki prowadzą aktywną działalność edukacyjną, współpracujemy z szkołami oraz uczelniami wyższymi. Po raz kolejny KOM-EKO znalazło się w gronie sponsorów „Dni Ziemi” organizowanych na Wydziale Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej UMCS. Ta cykliczna impreza skierowana jest do uczniów szkół ponadpodstawowych i podstawowych, oraz wszystkich, którym bliska jest tematyka ochrony środowiska.

**Z jakimi planami i nadziejami wchodzimy 2025r?**

Życzymy sobie konsekwencji w kontynuacji obranej strategii wraz z realizacją postawionych zadań operacyjnych i inwestycyjnych.

*Korzystając z okazji chciałbym podziękować wszystkim naszym pracownikom, partnerom handlowym i współpracownikom za mijający rok, życzyć zdrowych, rodzinnych i spokojnych Świąt Bożego Narodzenia oraz realizacji marzeń i celów w nadchodzącym 2025 roku.*

*Razem dla jutra!*

FOTO: Z archiwów Kom-Eko.

# Cele czy marzenia?

KATARZYNA FRANKOWSKA

Pod koniec roku często towarzyszy nam wrażenie, że czas jeszcze bardziej przyspiesza. Odliczamy dni do Świąt, aby zwolnić tempo, odechnąć, spędzić czas z najbliższymi. Kończący się rok skłania do podsumowań i refleksji oraz snucia cichych nadziei na to, że ten następny rok, okaże się ciekawszy, szczęśliwszy, spokojniejszy. Często w tym czasie robimy już pierwsze postanowienia, które zamierzamy zrealizować w Nowym Roku. Zazwyczaj w głowie układamy listę, co chcemy osiągnąć w kolejnym roku. Z reguły są to plany dotyczące zdrowszego trybu życia, lepszej i ładniejszej sylwetki, nauki języka obcego, podróży, hobby, poprawy relacji interpersonalnych czy w końcu rezygnacja z używek. Temat postanowień noworocznych jest o tyle wyzwaniem, że tylko 1% wśród osób podejmujących je, wytrwa w nich 12 miesięcy, nieliczni dotrważą nawet do marca ale znaczna większość zrezygnuje z nich już w połowie stycznia. Z badań na temat postanowień noworocznych wynika, że trzymamy się ich zazwyczaj maksymalnie do 17 stycznia. Ten dzień od kilku lat jest uznany dniem rezygnacji z postanowień noworocznych.

Czy w związku z tym warto robić postanowienia, stawiać ambitne cele i jak później w nich wytrwać? Napisano wiele książek naukowych w temacie celów. Tego jak należy je wyznaczać, realizować i osiągać. To wszystko wydaje się proste ale niestety tylko w teorii. Gorzej jednak

z praktyką. Niekiedy już samo myślenie o osiągnięciu celu potrafi na tyle zmęczyć i przerazić, że nie odważamy się sięgnąć po to czego chcemy. Dlaczego tak się dzieje? Otóż wszystkimu „winny” jest nasz mózg. Generalnie mózg nie lubi zmian. Nie lubi ich, ponieważ musi wyjść poza utarte schematy, tego, co znane i komfortowe. „Nowe” wzbudza lęk, wytrąca z poczucia kontroli oraz bezpieczeństwa, a ponadto stawia nasz mózg przed koniecznością włożenia wysiłku energetycznego, czego mózg już bardzo nie lubi. Natomiast brak nowych bodźców, trzymanie się kurczowo utartych wzorców i schematów ma także swoje negatywne konsekwencje w postaci nudy, dużego zniechęcenia czy nawet osłabienia mózgu i przyspieszenia procesów starzenia. Jednak z tego nasz mózg nie zdaje sobie sprawy. Aby wybrnąć z sytuacji nowych postanowień i zmiany, mózg zaczyna tworzyć rozwiązania, które to, mają na celu odroczyć wysiłek. Wprowadza nam różne fortele typu „zrobię to jutro, za tydzień za pół roku”, co staje się często naszym nowym nawykiem, ciągłym „jutro, a żyjemy przecież w tu i teraz – dzisiaj. Tak sprawy odkładają się na wieczne „jutro” i często bilans noworocznych postanowień zamykamy na dużym minusie oraz frustracją i wyrzutami do siebie o brak wewnętrznej motywacji.

Co i czy możemy coś zrobić, kiedy sabotuje nas nasz własny mózg? Oczywiście, że możemy!

Jak dowodzą badania, mózg ma nieograniczony potencjał i możliwości oraz nie odróżnia rzeczywistości od fikcji. To właśnie dzięki tej umiejętności możemy sobie coś wyobrazić czytając książkę czy słysząc jakąś historię, a na bazie tego co „wyprojektuje” nasz mózg, automatycznie pojawiają się w nas różnego rodzaju emocje. Dlatego też świadomie możemy wpływać na to, aby mózg współpracował z nami, przywołując obrazy i tworząc wizualizację naszych marzeń czy celów.

Jeśli wiesz, że trudno Ci realizować postanowienia, a sama myśl o celach, planach i ich realizacji wywołuje zniechęcenie czy przerażenie, to może w tym roku zamiast ustalać listę celów, spróbuj spisać marzenia? Jonasz Kofta pisał: „żeby coś się zdarzyło, żeby mogło się zdarzyć... trzeba marzyć!” Marzenia pomagają złapać oddech w szalonej codzienności, znaleźć sens czy wskazać kierunek życia. Pozwalają odpowiedzieć na nasze dawno zapomniane potrzeby: o odpoczynku, bliskości, zwróceniu uwagi na własne potrzeby. Ważne, aby spisać marzenia własnoręcznie, na kartce, maksymalnie dużo, tak aby wzbudzić te uśpione pokłady marzeń, które zagrzebane zostały pod szarą codziennością i sterłą przekonania, typu: „to nie dla mnie”, „nie zasługuję”, „wygląpię się”, „co ludzie powiedzą”. Lista może zawierać zarówno te „małe codzienne” jak i te wielkie, na ten moment wydające się nie do osiągnięcia.

Pisząc wyobrażaj sobie jakby to było, gdyby dane marzenie zrealizowało się. Wyobrażaj sobie to jak najbardziej precyzyjnie, że wszystkimi drobnymi detalami. Zauważ jakie obrazy podsuwa Ci Twój umysł i pamiętaj, że dla niego nie ma różnicy między wyobrażeniem, a rzeczywistością. Nie zapominaj, aby dobrze się przy tym bawić, niech to będzie przyjemność, a nie kolejny obowiązek. Pamiętaj, że nie ma znaczenia co wybierzesz: cele czy marzenia. Ważne natomiast, że określisz w jakim kierunku chcesz iść.

**Z okazji zbliżających się Świąt życzę Ci Drogi Czytelniku, aby docenianie małych elementów życia i codzienności, stało się nawykiem, który pozwoli na spełnianie marzeń tych małych i tych wielkich. Niech urzeczywistniają się w codziennym życiu i czynią je szczęśliwszym!**





MAŁGORZATA POŁOK

FOTO: Adobe Stock.

# KOMPETENCJE PRZYSZŁOŚCI

## W jakim kierunku warto się rozwijać?

Jak wynika z raportu Future of The Jobs opublikowanego przez World Economic Forum w 2024 roku, w perspektywie najbliższych kilku lat zmianie ulegnie 44% podstawowych umiejętności pracowników. Według badań, trzy główne czynniki wpływające na zmiany na rynku pracy to przejście na ekologiczną gospodarkę, rozwój technologii oraz czynniki gospodarcze.

Autorzy raportu Future of Jobs 2023 zwrócili uwagę na konieczność rozwoju dziesięciu strategicznych kompetencji pracowników do 2027 roku. Zgodnie z wnioskami ekspertów, najbardziej pożądanymi kompetencjami na rynku pracy będą:

- Myślenie analityczne i rozwiązywanie problemów.
- Myślenie kreatywne.

- Sztuczna inteligencja (AI) i duże zbiory danych (Big Data).
- Przywództwo i oddziaływanie społeczne
- Odporność psychiczna, elastyczność i umiejętność adaptacji.
- Ciekawość i nauka się przez całe życie.
- Umiejętność korzystania z technologii.
- Projektowanie technologii.
- Motywacja i samoświadomość.
- Empatia i aktywne słuchanie.

Powyższe kompetencje nazywamy **kompetencjami przyszłości**. Obejmują one zarówno kompetencje twarde – techniczne jak i miękkie – społeczne.

Dla każdej osoby obecnej na rynku pracy priorytetowe staje się budowanie samo-skuteczności poprzez wzmacnianie rezyliencji,

elastyczności i adaptacji, rozwijanie ciekawości i ciągłego rozwoju, a także wzmacnianie motywacji oraz samoświadomości. Patrząc na wymienione wyżej kompetencje, widać jak ważna jest inteligencja emocjonalna.

W nadchodzących latach, oprócz kompetencji cyfrowych, wzrośnie zapotrzebowanie na umiejętności miękkie, a warunkiem dobrej pracy będzie również ciągła nauka i doskonalenie siebie.

Według portalu pracuj.pl z roku na rok rośnie uznanie pracodawców dla zatrudniania opartego na umiejętnościach, które kładzie nacisk na kompetencje zamiast na posiadane wykształcenie i dyplomy.

Swoje badania przeprowadził także Uniwersytet Jagielloński w ramach Branżowego Bilansu Kapitału Ludzkiego. Według niego dla całej gospodarki w ciągu kolejnych kilku lat ważne będą następujące kompetencje:

- 1. Komunikacja, relacje, współpraca** – kompetencje interpersonalne stają się kluczowe. Zdolność efektywnej komunikacji, budowania relacji i współpracy z różnorodnymi grupami staje się niezbędna w środowisku pracy, gdzie zespoły mogą składać się z przedstawicieli różnych kultur i pokoleń.
- 2. Organizacja, zarządzanie, planowanie** – wzrost tempa zmian wymaga umiejętności efektywnego zarządzania czasem, zasobami i projektami.
- 3. Kompetencje analityczne** – w erze informacyjnej kompetencje analityczne obejmują nie tylko umiejętność analizy danych, ale także zdolność do zrozumienia złożonych kontekstów i podejmowania trafnych decyzji.
- 4. Kompetencje cyfrowe** – cyfryzacja najmocniej wpływa na rynek jak i życie nas wszystkich, wymagając od pracowników znajomości narzędzi cyfrowych, automatyzacji i sztucznej inteligencji.
- 5. Rozwój, twórczość, innowacyjność** – zapewnienie przewagi konkurencyjnej wymaga zdolności do ciągłego rozwoju, tworzenia nowych rozwiązań i innowacji. Pracownicy muszą być gotowi do adaptacji, generowania pomysłów i podejmowania kreatywnych działań w odpowiedzi na zmieniające się warunki

biznesowe. Do tego niezbędne jest skuteczne przywództwo.

- 6. Ochrona środowiska, zrównoważony rozwój** – zrównoważony rozwój staje się zasadą, a kompetencje związane z dbałością o środowisko nabierają znaczenia.

Firmy, inwestując w rozwój tych kompetencji, będą lepiej przygotowane do sprostania wyzwaniom stawianym przez szybko zmieniające się trendy gospodarcze i społeczne. Pracownicy zaś, posiadając te kompetencje, będą bardziej konkurencyjni na rynku pracy, ale przede wszystkim staną się **bardziej skuteczni we własnym środowisku zawodowym**.

Niezależnie od tego na rozwój jakich kompetencji postawimy, warto **budować odporność psychiczną, empatię i pozytywne relacje międzyludzkie**.



Małgorzata Połok

Dyplomowany coach oraz trener biznesu. Ukończyła Szkołę Trenerów IBD Business School oraz Szkołę Coachów Akademii SETT. Posiada tytuł MBA z zakresu zarządzania przedsiębiorstwem.

Posiada ponad 22 lata doświadczenia zawodowego, z czego ponad 10 lat w zakresie prowadzenia szkoleń, warsztatów rozwojowych i rekrutacji oraz 12 lat jako menadżer. Od ponad 2 lat prowadzi profesjonalne sesje coachingowe. Jest praktykiem w dziedzinie marketingu, PR i sprzedaży. Pełna pomysłów i otwarta na ludzi. Inspiruje i sama wciąż poszukuje inspiracji.

Prywatnie żona i mama trójki dzieci. Kocha ludzi, naturę i podróżowanie. Nieustannie wspiera innych w ich działaniach.



## Bakterią w PET

Naukowcy z Northwestern University w Illinois stosując mikroskopię, spektroskopię, proteomikę, modelowanie białek i inżynierię genetyczną odkryli, w jaki sposób bakterie *Comamonas testosteroni* radzą sobie z plastikiem. To mikroorganizmy dominujące obecnie w wodach miejskich oczyszczalni ścieków, gdzie rozwijają się na mikroodpadach z tworzyw sztucznych. Podczas badań przeprowadzonych w warunkach laboratoryjnych na fragmentach tworzywa PET zaobserwowano, że bakterie najpierw rozdrabniają plastik na małe kawałki, określane nanoplastikami. W drugiej fazie wydzielany jest specjalistyczny enzym (zidentyfikowany jako CtesDRAFT\_PD1902), który dzieli plastiki na jeszcze mniejsze fragmenty, co pozwala bakteriom uwolnić atomy węgla wykorzystywane jako źródło pożywienia. Naukowcy zwracają uwagę, iż ich ustalenia mogą być pomocne w opracowaniu technologii usuwania nanoplastików ze środowiska. Źródło: [www.pubs.acs.org](http://www.pubs.acs.org)

## Tajemnica efektu jojo

Efekt jojo, to frustrujące wszystkich walczących z nadwagą zjawisko powrotu do stanu wyjściowego. Szacuje się, że około 85% osób z otyłością, które tracą co najmniej jedną dziesiątą swojej masy ciała, odzyskuje ją w ciągu roku. Badania przeprowadzone przez naukowców z Politechniki Federalnej w Zurychu wykazały, że komórki tłuszczowe posiadają „pamięć” i opierają się próbom utraty wagi. Otyłość prowadzi do epigenetycznych zmian w jądrach tych komórek, w efekcie czego szybciej wchłaniając składniki odżywcze i szybciej rosną starając się wrócić do stanu sprzed diety. „Z perspektywy ewolucyjnej ma to sens. Ludzie i inne zwierzęta przystosowały się do obrony swojej masy ciała, zamiast ją tracić, ponieważ niedobór żywności był historycznie powszechnym wyzwaniem” – zauważają badacze. Obecnie nie ma sposobu na wymazywanie tej „pamięci” poprzez zmianę markerów epigenetycznych w jądrze komórki. Nie zbadano też, jak długo może się ona utrzymywać, ale jak podkreślają naukowcy „Komórki tłuszczowe to komórki długowieczne. Średnio żyją dziesięć lat, zanim nasz organizm zastąpi je nowymi komórkami. Możliwe, że utrzymanie zmniejszonej masy ciała wystarczająco długo wystarczy, aby wymazać tę pamięć”.

Źródło: [www.dzienniknaukowy.pl](http://www.dzienniknaukowy.pl)



FOTO: Adobe Stock.



## Pierwszy bursztyn znaleziony na Antarktydzie

Brytyjscy i niemieccy naukowcy z Alfred Wegener Institute, Helmholtz Centre for Polar and Marine Research oraz z TU Bergakademie Freiberg poinformowali, iż podczas prowadzonych w 2017 r. badań w zatoce Pine Island na Morzu Amundsena w Antarktydzie Zachodniej w rdzeniu wydobytym z głębokości 946 m znaleziono okruchy bursztynu. To pierwszy taki przypadek, dotąd obecność bursztynu odnotowano na wszystkich kontynentach poza Antarktydą. Jak wskazują badacze dowodzi to, iż w pobliżu bieguna południowego około 90 milionów lat temu, w okresie środkowej kredy, rosły lasy deszczowe, w nich zaś gatunki drzew produkujących żywicę. Znalezione kawałki bursztynu mają niewielkie rozmiary od 0,5 do 1 mm, różną barwę od odcieni żółtego do pomarańczowego oraz zawierają w sobie inkluzje, prawdopodobnie w postaci kory drzew.

Źródło: [www.cambridge.org](http://www.cambridge.org)

## Jeden z największych, ale też najstarszych

Pando to las genetycznie identycznych drzew topoli osikowej (*Populus tremuloides*) rosnący w górach Wasatch w stanie Utah. Każde z 47 tys. drzew jest połączone z innymi poprzez skomplikowany system korzeniowy nazywany polikormonem. Pando jest organizmem triploidalnym, który nie może rozmnażać się płciowo wymieniając DNA z innymi drzewami i zamiast tego tworzy klony samego siebie. Poszczególne pędy czy odrosty, określane są rametami i pod względem morfologicznym i fizjologicznym stanowią jedną całość, choć wyglądają jak oddzielne osobniki. Pando zajmuje powierzchnię około 43 ha o łącznej szacowanej masie przeszło 6,5 tys. ton, co pozwala uznać go za jeden z największych organizmów na ziemi. Najnowsze badania naukowców z Utah State University wskazują, iż jego wiek to od 16 tys. do 80 tys. lat, co czyni go również jednym z najstarszych organizmów na naszej planecie.

Źródło: [www.dzienniknaukowy.pl](http://www.dzienniknaukowy.pl)



EKO PORADY ANNA MARZEC

# Kropla w morzu potrzeb



Najważniejszy z wniosków płynący z opublikowanych raportów przez Główny Urząd Statystyczny jest następujący – Polacy zużywają coraz więcej wody. Normy zużycia wody na jedną osobę różnią się w zależności od stylu życia i nawyków. Średnie miesięczne zużycie wody na osobę w Polsce wynosi około 4-5 m<sup>3</sup>, co przekłada się na 4000-5000 litrów. Przeciętne zużycie wody na osobę w 2023r. wzrosło o 400 litrów. Na mieszkańca przypadło 34 400 litrów wody rocznie, co złożyło się na łączne zużycie wody przez gospodarstwa domowe w wysokości niemal 1,3 mld m<sup>3</sup>, czyli ponad dwukrotnie więcej niż objętość jeziora Śniardwy! Nie ma znaczenia czy są to obszary miejskie czy wiejskie, wszyscy zużywają jej coraz więcej. Dane za 2024r. zostaną opublikowane dopiero za rok. Na dziś jednak wiadomo, że ponad 120 gmin wprowadziło obecnie apele o zmniejszenie poboru wody. Jak więc być eko, a dodatkowo zmniejszyć wysokość miesięcznych opłat?

Wystarczy wprowadzić w swoje życie kilka niewielkich zmian, aby odczuć różnicę.

## 11 łatwych sposobów na oszczędzanie wody:

- Wybierz szybki prysznic** zamiast kąpieli – pojemność wanny to nawet 170 litrów w czasie jednej kąpieli, kiedy kilkuminutowy prysznic to około 40 litrów. Jeśli nie masz kabiny prysznicowej staraj się nie nalewać wody do pełna.
- Naprawiaj wadliwe instalacje** - kapiący ran, cieknąca spłuczka mogą wygenerować ogromne straty na poziomie 9 litrów na godzinę.
- Wykorzystuj wodę ponownie** – jak? Wodę po myciu rąk można wykorzystać ponownie do mycia podłóg, a jeśli używasz detergentów na bazie naturalnych składników możesz nią podlewać rośliny w ogrodzie. Zimną wodą po gotowaniu makaronu również można do tego wykorzystać.
- Zakręcaj wodę podczas mycia zębów** – Mycie zębów przy odkręconym kranie to nagminne zachowanie wśród młodzieży ale nie tylko. Jednokrotne mycie zębów przez 2 minuty to zużycie wody na poziomie 16 litrów! Wodę do płukania jamy ustnej nalej do kubeczka.
- Używaj odpowiednich baterii** z perlatorem – Ta mała nakładka w kształcie sitka, która napowietrza strumień pozwoli zaoszczędzić wodę, a Ty masz wrażenie, że z kranu płynie więcej wody.
- Używaj regulowanej spłuczki** - tradycyjną spłuczkę kompaktową wymień na taką z podwójnym systemem spłukiwania. To różnica aż 6 litrów wody przy jednym spłukaniu. Nie spłukuj wody bez potrzeby. Nie wyrzucaj do toalety resztek

jedzenia, wacików, chusteczek czy o zgrozo patyczków do uszu!

- Zainwestuj w zmywarkę** – zmywanie ręczne jest nie tylko czasochłonne ale też nieekonomiczne. Zmywanie ręczne zużywa do 30% więcej wody niż zmywarka w jednym cyklu. Wybierz tryb EKO, który pobiera jeszcze mniej wody.
- Pralkę i zmywarkę** uruchamiaj tylko wtedy, gdy są zapełnione – zmniejszysz częstotliwość prania i zmywania, oszczędzisz nie tylko więcej wody ale i prądu.
- Używaj programów EKO** - tryb ekonomiczny posiada niską temperaturę prania (20-30 stopni), w związku z czym nie wymaga intensywnej pracy grzałek. Nowoczesna pralka ustawiona na tryb EKO zużyje nawet 9 litrów wody mniej niż ta ustawiona na szybkie 30-minutowe pranie. Kupując nowe urządzenie zwróć uwagę na klasę energetyczną.
- Zbieraj deszczówkę** – jeszcze tego nie robisz?! Wspaniały dar natury, którym podlejesz wszystkie rośliny w ogródku. Miękka woda, która pozbawiona jest pierwiastków wapnia i magnezu, jest dobrze przyswajalna przez rośliny, a już

szczególnie przez monstery i skrzydłokwiaty. Nie marnuj wody w ogrodzie. Wystarczy beczka podstawiona pod rynnę. Trawnik i rośliny podlewaj rano aby zmniejszyć parowanie wody. Dookoła roślin wysyp korę drzewną, która zatrzyma wilgoć w ziemi.

- Oszczędzaj wodę w skali globalnej** - Na przykład jedząc mniej mięsa. Do wyprodukowania 1kg wołowiny potrzebne jest aż 15 415 litrów wody. A 1 kg czekolady aż 17 196 litrów! O wiele mniej wody zużywa się do produkcji: jaj, chleba, warzyw, owoców, ryżu, sera czy drobiu. Jeden bochenek chleba to 462 litry wody, a 1 kg jabłek to 822 litry. Nie kupuj niepotrzebnych rzeczy, stare ubrania potnij na szmatki, segreguj odpady, nie myj ich przed wyrzuceniem do kosza. Jeśli czujesz się zmuszony by umyć samochód, pojedź do myjni samochodowej, która przetwarza wodę, zamiast myć samochód w domu za pomocą węża.

**Spraw aby Twoje działania stały się inspiracją dla innych!**



FOTO: Adobe Stock.

W Polsce za zużycie ok. 13% wody odpowiedzialne są gospodarstwa domowe.

Na Świecie tylko 1% dostępnych zasobów wody to woda słodka.

Od 1961 r. powierzchnia obszarów suchych rośnie o ponad 1% na rok.

Obecnie ponad 500 mln ludzi żyje na obszarach ze stałym deficytem wody pitnej.

# Pułapka ciemnej flauty

Do lat dwudziestych obecnego wieku, mrok antycyklonalny nie znajdował się w centrum zainteresowania badań naukowych.

ADAM PRYZSTUPA

**P**olski Instytut Ekonomiczny w swoim Tygodniku Gospodarczym z 21 listopada 2024 r. opublikował informację o skutkach jakie zjawisko zwane ciemną flautą przyniosło dla europejskiego systemu energetycznego.

Czym jest ciemna flauta? To słowo pochodzi z języka niemieckiego (Dunkelflaute) i powstało jako połączenie dwóch innych „Dunkelheit” (ciemność) i „Flaute” (bezwietrzna pogoda, sztil), aby opisać ciężkie, zachmurzone niebo i słabe warunki wiatrowe. Owo ponure zjawisko pogodowe ma wszakże swoje odpowiedniki w innych językach,

Dlaczego poświęca się mu coraz więcej uwagi? Oczekuje się, że w nadchodzących dziesięcioleciach europejski system energetyczny będzie w coraz większym stopniu uzależniony od wytwarzania energii odnawialnej, ale co istotne niedyspozycyjnej, takiej jak energia wiatrowa i słoneczna. Dyrektywa UE w sprawie odnawialnych źródeł energii, która weszła w życie w listopadzie 2023 r., zwiększa cel dotyczący odnawialnych źródeł energii na 2030 r. z dotąd oczekiwanego ich udziału na poziomie 32% do poziomu 42,5%. W takim scenariuszu zjawisko ciemnej flauty, które prowadzi do trwałego ograniczenia produkcji energii wiatrowej i słonecznej jawi się jako czynnik krytyczny.

Co ciekawe do lat dwudziestych obecnego wieku, mrok antycyklonalny nie znajdował się w centrum zainteresowania badań naukowych. W jednym z pierwszych opracowań dotyczących prób jego modelowania autorstwa naukowców z holenderskiego Delft University of Technology z 2020 r. pojawiło się nawet stwierdzenie, iż „W erze zaawansowanego oprzyrządowania (w tym teledetekcji) i najnowocześniejszego modelowania numerycznego (np. symulacji dużych wirów) taka krytyczna luka w wiedzy nie powinna istnieć.” Teraz pośpiesznie nadrabiamy zaległości i wiemy o ciemnej flaucie coraz więcej. Jak piszą cytowani tu wcześniej Holendrzy „charakteryzuje się układem wysokiego ciśnienia, rozległym zachmurzeniem stratus i/lub stratocumulus, silną inwersją osiadania, prawie spokojnym wiatrem, niską temperaturą powierzchni i prawdopodobnie mglistymi nocami.” W środkowej i północnej Europie jest zjawiskiem występującym od października do lutego, natomiast w dalekiej Japonii najczęściej latem. Wiemy też, że ciemna flauta nie jest zdarzeniem epizodycznym, ale występuje

choćby w dialekcie języka angielskiego z okolic Lincolnshire, gdzie znane jest jako moäky lub moke. Co ciekawe termin ciemna flauta coraz częściej pojawiający się w kontekście energetyki, w języku meteorologów oficjalnie nie funkcjonuje. Specjaliści z tej dziedziny najczęściej określają to zjawisko mrokiem antycyklonalnym.

cyklicznie. Opublikowane w 2023 r. wyniki badań Karlsruher Institut für Technologie wskazują, iż nad Niemcami pojawia się 4,3 razy w roku, choć najbardziej obfity był przełom lat 1996/1997, kiedy przy bezwietrznej pogodzie powała niskich chmur zawisała 10 razy. Zwykle taki stan trwa 3,2 dnia (77,5 godzin).

W tym roku ciemna flauta dokuczyła Europie między 4 a 14 listopada, co wymusiło znaczącą zmianę miksu energetycznego. Niedobór energii ze źródeł odnawialnych zmusił do sięgnięcia po niechciane paliwa kopalne. W Niemczech w tym okresie odpowiadały one za 66% wyprodukowanej energii elektrycznej co oznacza wzrost o 29% w stosunku do średniego ich udziału w 2024 r. Jednocześnie gospodarka niemiecka, by zaspokoić swoje potrzeby energetyczne, musiała w tym czasie importować 1,9 TWh energii, co stanowiło 12% całego zapotrzebowania Niemiec na energię elektryczną w tym okresie.

We Francji, która swój mix energetyczny oparła na elektrowniach jądrowych i wodnych, przy niskim udziale źródeł niesterowalnych (13% w skali roku), spadek generacji z tych ostatnich wyniósł w tym okresie zaledwie 6%. Co więcej, Francja, która jest największym europejskim eksporterem energii elektrycznej (od stycznia do połowy listopada 2024 r. eksportowała netto 80 TWh – 21% zapotrzebowania i 17% produkcji energii elektrycznej) w czasie tegorocznej ciemnej flauty nadal nim pozostała (18% wyprodukowanej energii).

W Polsce jak podaje Polski Instytut Ekonomiczny udział źródeł niesterowalnych spadł w okresie ciemnej flauty z 27% do 6,7%, „jednak przełożyło się to na stosunkowo niewielki wzrost importu energii zza granicy w tym czasie (z 2 proc. do 3 proc. zapotrzebowania). Niższa generacja z fotowoltaiki i onshoru przełożyła się jednak na konieczność skorzystania przez PSE z rynku mocy, by uzupełnić braki.”

Wnioski? Zacytujmy raz jeszcze publikację PIE: „Bilansowanie systemu elektroenergetycznego w okresach ciemnej flauty to jeden z największych problemów wiążących się z wykorzystaniem fotowoltaiki i farm wiatrowych w budowie krajowych mikсів energetycznych. Magazyny baterijne, stabilizujące system w ramach rytmu dobowego, wymagałyby olbrzymich nakładów finansowych, aby zapewniać stabilną pracę systemu w takich sytuacjach. Średnie zapotrzebowanie

na moc rezydualną w Niemczech w 2024 r. wynosiło 32 GW, a podczas okresu ostatniej ciemnej flauty – 53 GW. Nawet zakładając spadek cen systemów magazynowania baterijnego do 50 USD/kWh, koszt budowy baterijnych mocy zapasowych na tak długi okres sięgałby 200-250 mld USD. Ciemna flauta wskazuje na znaczenie stabilnej, niskoemisyjnej generacji (elektrownie jądrowe, elektrownie wodne, biogazownie) oraz mocy dyspozycyjnych, które choć w przyszłości mogą używać neutralnych klimatycznie biometanu i zielonego wodoru, dziś zużywają głównie paliwa kopalne.”

Opowieść o ciemnej flaucie, może nieodparcie budzić skojarzenia z żeglarstwem. I tam zjawisko bezwietrznej pogody było przyczyną utrapień. Do tego stopnia, iż przedłużający się okres ciszy w dalekich rejsach wymuszał konieczność racjonowania słodkiej wody, czego ofiarami padały przewożone na pokładzie konie. Wyrzucane za burtę dały zaczyn dla terminu „końskie szerokości”, którym zwykło się nazywać te rejony oceanu w okolicach 30 równoleżnika, gdzie flauta jest stanem zwyczajnym. Wedle żeglarskich przesądów remedium nań mogło być... gwizdanie, w każdej innej sytuacji surowo na pokładzie wzbronione. Jak to z przesądami bywa, trudno liczyć, iż była to metoda skuteczna. Pozostawało więc cierpliwie czekać na wiatr. Niczym w piosence Maanam. Swoją drogą tekst Kory to wypisz wymaluj opis ciemnej flauty. Te „chmury wiszą nad miastem”, to „powietrze lepkie i gęste” i ten brak oczekiwanego wiatru. Wreszcie „słońce wysoko, wysoko” co ponad warstwą chmur „świeci pilotom w oczy”. Kiedy sto lat temu wybitny brytyjski meteorolog Charles Douglas opisywał mrok antycyklonalny, pisał: „Na ogół nie zdaje sobie sprawy, że kiedy niebo pokryte jest ponurym baldachimem chmur, z nieuniknioną dymną mgłą unoszącą się nad miastami i na znaczną odległość od zawietrznej, wystarczy wznieść się na około milę, aby wejść w rejon z czystym, błękitnym niebem nad głową i morzem białych, kłębiących się chmur pod spodem” a potem kontynuował „Zimą niebo jest bardzo często zachmurzone pojedynczym arkuszem niskiej chmury o grubości od 500 do 2000 stóp. Ten typ chmur jest bardzo charakterystyczny dla pogody antycyklonalnej.” Wypisz wymaluj...

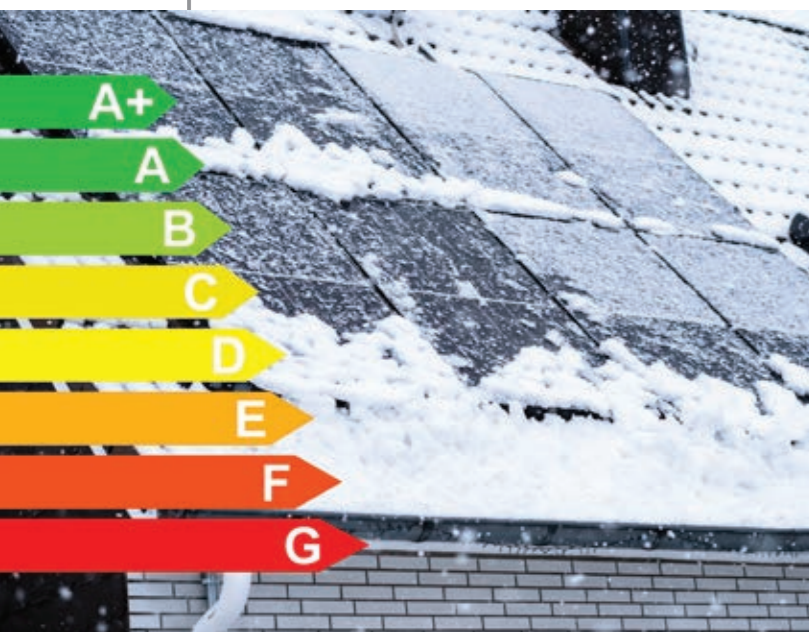
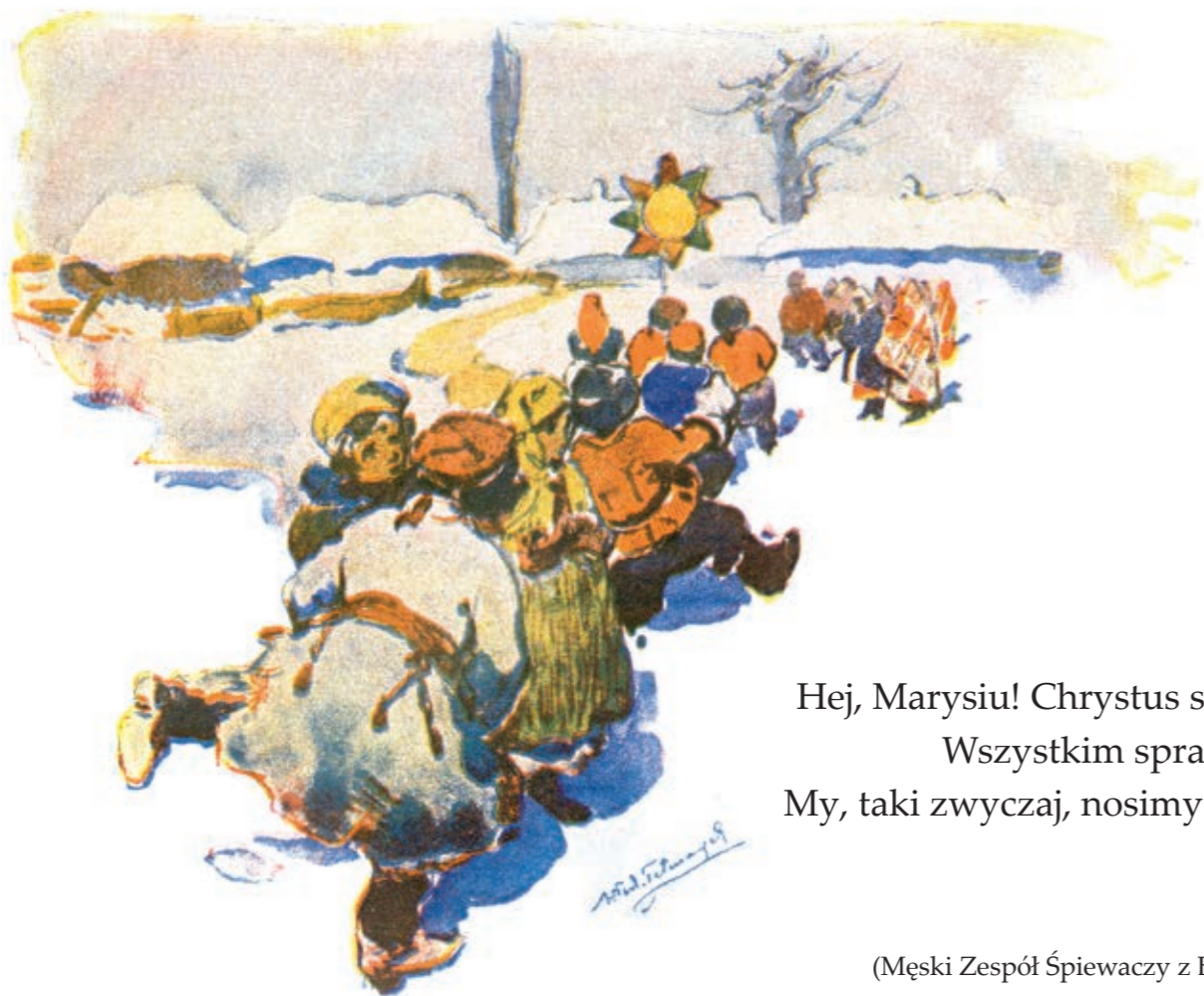


FOTO: Adobe Stock.



Hej, Marysiu! Chrystus się zrodził,  
Wszystkim sprawił Gody.  
My, taki zwyczaj, nosimy do wody,  
Na dunaj.

(Męski Zespół Śpiewaczy z Bukowej'2023)

# Dawne kolędowanie w Biłgorajskim i nowe inicjatywy kolędnicze

DR AGATA KUSTO

**K**olędowanie (chodzenie po kolędzie) dawniej oznaczało obrzędowe składanie życzeń w okresie Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Najczęściej był to dzień św. Szczepana, święto Trzech Króli i Nowy Rok, choć czasem mogło to przypadać na dzień powszedni. Kolędnikami były dzieci, młodzież, ale też dorośli, zwykle mężczyźni. Grupki kolędników obchodziły wieś, oddalając się czasem na znaczne odległości. Na Lubelszczyźnie kolędowano z gwiazdą, ze zwierzętami, chodzono z szopką,

wystawiano Herody, kolędowano pannom i gospodarzom. Przywołajmy kilka obrazów dawnego kolędowania biłgorajskiego i zobaczymy, czy i jak są one obecne współcześnie.

Jedną z dawnych form, pamiętanych jeszcze przez pierwszą wojną światową, było śpiewanie kolęd z kantyczek. Kantyczkami nazywano specjalny zbiór pieśni kolędowych. Z tych najstarszych, do dziś śpiewana jest XV-wieczna kolęda Anioł pasterzom mówił. Z późniejszych wieków pochodzą autorskie kolędy Franciszka Karpińskiego

Bóg się rodzi oraz Teofila Lenartowicza Mizerna cicha. Jak wyglądało obchodzenie domów ze śpiewem kolęd? Regionalista Ziemi Biłgorajskiej, Roman Sokal pisał, że w grupie znajdowało się 4-6 mężczyzn żonaty i kawalerów, którzy ukończyli służbę wojskową. Ubierali się w ciemnobrązowe sukmany z jasnymi wyszyciami, a na głowy zakładali wełniane czapki z czterema pomponami, tzw. gamerki. Kolędnicy mieli ze sobą worek, skrzypce i bębenek, który wykonywano z sita obciążonego skórą i doczepiano doń dzwonki. Kolędnicy odwiedzali kolejno domy i śpiewali kolędy z nabywanych u kramarzy na odpustach kantyczek. W nagrodę otrzymywali grykę, którą wsypany do worka. Jeśli w domu była panna na wydaniu śpiewano dla niej specjalne kolędy, za co panna musiała uiścić opłatę w wysokości 20-15 groszy. Na zakończenie kolędy w danym dniu odbywała się wspólna zabawa z pannami.

Innym zwyczajem, szczególnie rozpowszechnionym w okolicach Tarnobrode, było chodzenie z szopką. Młodzi chłopcy prześcigali się w wyrobieniu drewnianych szopek krytych słomianą strzechą, imitujących stajenkę. W środku umieszczone były figurki Matki Boskiej przy żłóbku z małym Jezusem. Obok szopki znajdowała się figurka św. Józefa. Świątelnko nad żłóbkiem i otwór w dnie szopki umożliwiały prezentację kolejnych figurek: pastuszków, Heroda, diabła, Trzech Króli, śmierci, owiec i innych zwierząt oraz postaci występujących w szopce. Chodzący po domach chłopcy śpiewali kolędy i pastorałki, jak *Do szopy, hej, pasterze* lub wybrane ich zwrotki, podczas gdy jeden z nich poruszał figurkami w dnie i przez otwór w szopce ukazywała się ta, do której nawiązywała treść śpiewu.

Kolejną formą charakterystyczną dla dużej części Lubelszczyzny było śpiewanie kolęd dla kawalera i dla panny. Dawne teksty pełne są obrazów jabłka i jabłoni, symbolizujących: płodność,

urodę, młodość, miłość, życiodajne moce, dobrobyt, bogactwo, władzę i panowanie nad światem, zdrowie, mediacyjność. Korespondują one ze świątecznym wystrojem domostw, z dawną podłazniczką, czy późniejszą choinką zdobioną czerwonymi jabłuszkami. W tekstach „okolędowania” panny występuje motyw zdejmowania jabłka z choinki i obdarowywania nim ukochanego. A ponieważ kolędowanie pannom i kawalerom odbywało się w okresie noworocznym, to

tłumaczono je jako gotowość do małżeństwa, stąd ich matrymonialny wymiar. W Łukowej i okolicach zachował się zwyczaj śpiewania pieśni zwanych „dunajowymi”. Dunaj symbolizuje w kulturze ludowej głęboką wodę, regenerującą i oczyszczającą, będącą początkiem i końcem, dającą siłę. Pieśni dunajowe śpiewali chłopcy, młodzi kawalerowie dziewczynom/pannom. Mówiono, że kolędnikami byli dunajnicy, którzy śpiewając pannom życzyli szybkiego zamążpójścia. Jan Paluch, dunajnik z Łukowej wspomina, że podchodziliśmy pod okno i krzyčeliśmy „Pochwalony Jezus Chrystus!” i kobyła [jeden z kolędników przebrany za kobyłę] chodziła z workiem, zbierała. Albo harmonia była i bęben, albo skrzypce i bęben. Także jak się wyszło wieczór posłuchać, to było pięknie, to ta Łukowa była w kolędę bardzo piękna!

Współcześnie tradycja dunajowania jest kultywowana w dużej mierze z inicjatywy Gminnego Ośrodka Kultury w Łukowej. Działania zaowocowały wpisem na listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego. Przywołany na wstępie tekst kolędy dunajowej pochodzi ze współcześnie wykonywanego repertuaru Męskiego Zespołu Śpiewaczego z Bukowej. Jego członkowie pochodzą z Korytkowa Dużego i Bukowej, miejscowości położonej w północnej części gminy Biłgoraj. Zespół działa przy tamtejszym GOK-u, a jego instruktorem i członkiem



RYS: Włodzimierz Tetmajer. Polona.

RYS: Strój biłgorajski. Polona.



FOTO: Kolędowanie 2023. Fundacja Borówek 27.

jest Jerzy Odrzywolski, który śpiewanie kolęd pannom i kawalerom sam pamięta z dzieciństwa. Nurt kontynuowania lokalnych tradycji muzycznych widoczny jest w przeglądach i konkursach folklorystycznych, jak Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu czy liczne przeglądy powiatowe i gminne.

Odrębnie należy traktować oddolne inicjatywy kolędnicze, których organizatorami na Lubelszczyźnie są m.in. Towarzystwo dla Natury i Człowieka jak też Fundacja Borówek 27. Mają one różnorodną formę nawiązującą do tradycyjnych przekazów. W 2008 r. było to kolędowanie po domach mieszkańców janowskiego Władysławowa (YouTube: Kolędowanie we Władysławowie), z atrybutami (stroje, koza, instrumenty) i tradycyjnym repertuarem tekstów i kolęd. Wydarzenie miało swoją kontynuację w kolejnych latach. W tym sezonie organizatorzy planują noworoczno-kolędniczą formę wydarzenia pod nazwą Kolęda Fanfara, co jest nawiązaniem do tradycji orkiestr dętych Roztocza Zachodniego. W programie przewidziano potańcówki z wykorzystaniem dawnego repertuaru tzw. „ordynackiej nuty”. Fundacja Borówek 27, wiąże swoją działalność z adresem zawartym w nazwie, a więc z Ziemią Krasnostawską, której tradycje mogą stanowić reprezentację dla większego obszaru województwa lubelskiego. W roku 2016

członkowie fundacji przygotowywali inscenizacje kolędnicze „Kozy i Herody”, a w drugim dniu nowego roku chodzili po domach śpiewając kolędy, oracje oraz wystawiając przygotowane scenki. Corocznie organizowany jest Zimowy Tabor Lubelski, połączony z tematycznymi warsztatami. Współcześni kolędnicy to środowisko bardzo zróżnicowane pod względem pochodzenia i statusu zawodowego, jednocześnie prężnie się rozwijające. Ideą są spotkania lokalne, tworzenie w duchu wspólnotowym i sięganie do udokumentowanych, tradycyjnych form kolędowania, którym dziś nadaje się nowe znaczenia. Głęboka symbolika kolędowania tradycyjnego nie jest już znana, wiele z symboli kultywuje się zwyczajowo. Może dziś już nikt nie prosi o kolędę dla panny, ale bardzo liczy się dobre słowo, gromki śpiew i poszanowanie dla rodzimych tradycji. Bądźmy więc przychylni dla przybywających pod okna i drzwi kolędników i miejmy w zanadrzu kilka szczodraków!

## dr Agata Kusto

Katedra Niematerialnego  
Dziedzictwa Kulturowego  
Instytut Nauk o Kulturze UMCS

## HISTORIA NA ZDJĘCIU MAGDALENA PIWOWARSKA



Zima 1937 roku na Krakowskim Przedmieściu  
fot. Stanisław Magierski.

FOTO: Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Lublinie.

**Stanisław Magierski** (1904 – 1957) znany lublinianom jako właściciel „Hurtowni drogeryjnej i składu materiałów aptecznych i farb” przy Krakowskim Przedmieściu 25. Dzisiaj moglibyśmy powiedzieć o nim, że to „człowiek – orkiestra”. Był farmaceutą, malarzem, poetą, mecenasem sztuki i w końcu fotografem. W jego sklepie można było kupić, między innymi wszystko do wykonania fotografii, od aparatów do błon filmowych. W 1936 roku był współzałożycielem Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego. Jego spuścizna fotograficzna oraz pamiątki ze sklepu znajdują się w zbiorach Muzeum Historii Miasta Lublina. Podczas II wojny światowej był zastępcą dowódcy Biura Informacji i Propagandy Okręgu Lubelskiego AK. Magierski jako poeta jest chyba najbardziej nam znany jako autor słów i muzyki do „Kołysanki leśnej” zaczynającej się od słów *Dziś do Ciebie przyjść nie mogę...* W 1950 roku Stanisław Magierski stracił rodzinny majątek przekształcony w firmę „Permedia”, istniejącą do tej pory i powołującą się na długoletnie doświadczenie i tradycje. Szkoda, że firma na swojej stronie internetowej nie wspomina skąd taka długa metryka.



# Nie marnujmy jedzenia

ADAM PRYZSTUPA

**C**zas świąteczny to niezmiennie dobra okazja, by przypominać o tym, jak wiele w tym czasie marnujemy żywności i w kontraście do tego faktu, jak wiele jest potrzeb związanych z jej brakiem. W Polsce co roku marnujemy jej 4,8 mln ton. Marnotrawstwo żywności następuje na każdym etapie od jej produkcji, przez przetworzenie, transport, sprzedaż po konsumpcję, ale największy udział (60%) w tym niechlubnym procederze mają gospodarstwa domowe. W ubiegłym roku przyznało się do tego 59% ankietowanych rodaków, co na tle poprzednich lat jest niestety wynikiem rekordowym. Pocięszające, że w 68% przypadków ilość marnowanej żywności w gospodarstwie domowym zmniejszyła się. Wśród najczęściej wymienianych przyczyn wyrzucania żywności są: przecenienie terminu przydatności do spożycia, niewłaściwe przechowywanie żywności, zbyt duże zakupy oraz przygotowanie zbyt dużych porcji posiłków. W 2023 r. najczęściej marnotrawiliśmy

pieczywo (52%), owoce (38%), warzywa (36%) i wędliny (32%)

Autorzy Raportu Federacji Polskich Banków Żywności „Nie marnuj jedzenia 2023”, z którego pochodzą przytaczane tu dane wskazują, iż 4,8 mln ton zmarnowanej żywności, to ilość jedzenia, którą moglibyśmy zapełnić około 12 miliardów talerzy. Ustawiając te talerze jeden na drugim osiągnęlibyśmy wysokość 90 000 km, czyli prawie 1/4 drogi na księżyc!

## Na co powinniśmy zwrócić uwagę, by nie marnować żywności?

- Dokonuj racjonalnych zakupów – na zakupy nie chodź głodny i nie ulegaj reklamie,
- sporządź listę zakupów,
- pilnuj terminu przydatności zakupionych produktów,
- produkty w lodówce układaj wg zasady FIFO (produkty najdłużej przechowywane zużywaj jako pierwsze),

- jeśli zdarzyło Ci się kupić za dużo pieczywa, zamroź je. To prosty sposób na przedłużenie trwałości chleba i bułek,
- planuj posiłki,
- przygotuj posiłki z tego, co nie zostało zjedzone.

Nauczmy się rozróżniać pojęcia - data minimalnej trwałości („najlepiej spożyć przed”) i termin przydatności do spożycia („należy spożyć do”) na opakowaniach żywności - aby jej nie marnować i zaoszczędzić pieniądze:

- **„Najlepiej spożyć przed”** wskazuje, do kiedy żywność zachowuje odpowiednią jakość. Po upływie tego terminu żywność jest nadal bezpieczna dla konsumenta, pod warunkiem, że przestrzega się wskazówek dotyczących przechowywania, a opakowanie nie jest naruszone. „Najlepiej spożyć przed” jest umieszczane na wielu mrożonych, chłodzonych i suszonych (makaron, ryż) produktach, a także na konserwach i innych środkach spożywczych (np. olej roślinny, czekolada itp.).
- **„Należy spożyć do”** wskazuje, do kiedy spożycie danego produktu jest bezpieczne. Jest umieszczane na nietrwałych produktach, takich jak świeże ryby, świeże mięso mielone, itp. Przestrzegaj wskazówek dotyczących przechowywania w przeciwnym razie jedzenie szybciej się zepsuje i może spowodować zatrucie pokarmowe. Termin przydatności do spożycia można przedłużyć, zamrażając jedzenie bezpośrednio po dokonaniu zakupu. Należy jednak przestrzegać ogólnych zasad zamrażania żywności, a także szczegółowych instrukcji, które znajdują się na opakowaniu.

Niezależnie od powyższych rad pamiętajmy, by prawidłowo segregować u źródła powstające w naszej kuchni resztki jedzeniowe. Te pochodzenia roślinnego, fusy po kawie i herbacie oraz skorupki jajek powinny trafić do brązowego pojemnika na bioodpady. Resztki pochodzenia zwierzęcego oraz kości i ości umieszczamy w pojemniku na odpady zmieszane.

FOTO: Adobe Stock.



# Sianko w żłóbku



**DR ANNA CWENER, MGR INŻ. MARTA SAPKO**  
**OGRÓD BOTANICZNY UMCS.**

W naszej tradycji utarło się, że nowonarodzonego Jezusa położono w żłóbku na sianku. Siano kładziemy również pod obrusem, na stole przygotowanym do wigilijnej wieszery. Ale czy faktycznie siano towarzyszyło w jakiś sposób narodzinom Chrystusa?

**B**etlejem znajduje się w centralnej części Wyżyny Judzkiej, zwanej Górą Judzkimi, na wysokości około 775 m n.p.m. Położone jest 10 km na południe od Jerozolimy, około 60 km na południowy wschód od wybrzeża Morza Śródziemnego i 30 km na zachód od Morza Martwego. Panuje tam klimat śródziemnomorski, który charakteryzuje się gorącymi i bezdeszczowymi latami, o temperaturze powyżej 20 °C oraz chłodnymi i deszczowymi zimami, jednak o temperaturze powyżej 0°C. Deszcze pojawiają się zwykle pomiędzy październikiem a majem, przy czym najobficiej pada w grudniu, styczniu i lutym, a od czerwca do września opady praktycznie nie występują.

Pierwotnie Góry Judzkie porośnięte były lasami dębowymi, w których w miejscach

wilgotniejszych, na północnych stokach, dominował dąb palestyński *Quercus calliprinos* i niemający w języku polskim nazwy gatunkowej szakłak *Rhamnus lycioides* subsp. *graeca*. W miejscach suchszych las miał charakter parkowy i tworzył go głównie dąb tabor *Quercus ithaburensis* oraz krzewy szakłaku *Rhamnus lycioides* subsp. *graeca*, szarańczynu strąkowego *Ceratonia siliqua* i pistacji kleistej *Pistacia lentiscus*. Z czasem lasy zostały wytępione i zastąpione przez nasadzenia oliwki europejskiej *Olea europaea* i migdałowca pospolitego *Amygdalus communis* oraz przez niemal bezdrzewne zbiorowiska murawowe, które były bardziej pożądane z punktu widzenia hodowli zwierząt. Miejsce lasów zajęły zbiorowiska roślinne, określane w tym rejonie jako *batha*, tworzone przez rośliny wytrzymałe na suszę:



FOTO: Okolice Betlejem. Adobe Stock.

niskie, kolczaste krzewy, aromatyczne rośliny z rodziny jasnotowatych i liczne byliny bulwiaste. Roślinność ta cechuje się swoistą dynamiką. Wkrótce po pierwszych jesiennych opadach deszczu na łąkach, stepach i półpustyniach Gór Judzkich, kwitną jednoliścienne byliny podobne do znanych z naszych ogrodów szafirków *Muscari* sp., kosaćców *Iris* sp. mieczyków *Gladiolus* sp. czy zimowitów *Colchicum* sp. Późna jesień to również czas zasiewów. Najbujniej roślinność rozwija się od połowy stycznia do połowy kwietnia. W tym okresie masowo kwitną czerwone zawilce wieńcowe *Anemone coronaria*, cyklameny perskie *Cyclamen persicum* i łubiny kosmate *Lupinus pilosus*. Soczystej zieleni nadają zbozom trawy takie jak ostnica *Stipa*, stokłosa *Bromus*, życica *Lolium*, egilops *Aegilops* i in. Intensywny okres rozwoju roślin trwa jednak krótko. Przyczyniają się do tego wiejące wiosną z południa i połu-



FOTO: Zawilce (czerwone) i łubiny (niebieskie) na Ziemi Świętej. Adobe Stock.

dniowego wschodu, gorące i suche wiatry *sharav* (*sirocco*). Już w kwietniu zaczynają się żniwa. Latem roślinność wysycha, by jesienią, wraz z nastaniem pory deszczowej, znów rozkwitnąć.

Podobne warunki klimatyczne panowały w czasach narodzin Chrystusa. W porze deszczowej nie brakowało paszy dla zwierząt. Latem, gdy na równinach zielone zioła i trawy wysychały, pasterze wędrowali w poszukiwaniu nowych miejsc popasu. Przepędzali swoje stada w doliny rzek, bardziej na północ lub w wyższe partie gór. Niekiedy przez część lata owce pasły się na ścierniskach lub zjadały pozostałości wyschniętych już traw. A czy i kiedy jadły siano?

O ile w Biblii możemy spotkać dość liczne wzmianki i odniesienia do żniw, to sianokosy wspomniane są sporadycznie. Częściej mówi się o potrawie, czyli trawie odrastającej po skoszeniu. O sianokosach królewskich, których zbiór należał do króla, pisze Amos:



FOTO: Wypas owiec - Jeruzalem. Adobe Stock.

„To mi ukazał Pan Bóg: oto tworzy szarańczę na początku odrastania potrawu, a był to potraw po sianokosach królewskich” (Am 7.1). W Księdze Przysłów jest mowa o zbiorze siana z gór, choć ponoć właściwszą interpretacją jest zbiór ziół, a nie tego co dziś rozumiemy jako siano: „Wyrosła trawa, pojawia się potraw, zbierze się górskie siano” (Prz 27.25). Biblia wspomina siano, a raczej nieskoszoną, suchą trawę, częściej w kontekście kruchości, przemijania i kary „Przeto jak słomę pożera język ognisty, a siano znika w płomieniu, tak korzeń ich będzie zgnilizną, a kielek ich jak pył porwany się wzniesie, bo odrzucili Prawo Pana Zastępów i wzgardzili tym, co mówił Święty Izraela” (Iz 5.24).

Badacze historii są raczej zgodni, że to co my obecnie rozumiemy jako siano, czyli skoszoną i wysuszoną trawę przeznaczoną na paszę dla zwierząt, w starożytnym Izraelu nie było znane. Trawa, o ile zaistniała taka potrzeba, była koszona i na zielono podawana zwierzętom. Bardziej prawdopodobne jest, że jako paszę wykorzystywano słomę: „Salomon miał też cztery tysiące stajni dla koni do swoich powozów i dwanaście tysięcy wierzchowców. (...) jęczmień i słomę dla koni [pociągowych] i rumaków sprowadzano na to miejsce, które każdemu było wyznaczone” (Kr 5.6-8). Słoma, czyli łodygi i liście dojrzałych roślin uprawnych, pozostawała po omłocie. Na ówczesnych terenach Ziemi Świętej uprawiano jęczmień i kilka gatunków pszenicy, z których

wyrabiano mąkę do wypieków: płaskurka *Triticum dicoccum*, pszenica twarda *Triticum durum* i pszenica zwyczajna *Triticum aestivum*. Wymieniana bywa też pszenica samopsza *Triticum monococcum*, której ziarno używane było wówczas głównie jako pasza dla koni. Jęczmień *Hordeum sp.*, był prawdopodobnie najwcześniej uprawianym zbożem. Chleb z mąki jęczmiennej, zwany też chlebem ubogich, był w czasach Jezusa najczęściej spożywanym pokarmem. Zboża uchodziły za najszlachetniejsze plony pól, a oczekiwanie na ich dojrzewanie połączone było z wieloma świętami rolniczym. Obfite zbiory ziarna były oznaką Bożego błogosławieństwa i zapewniały pożywienie, a pozostała po żniwach słoma była wykorzystywana między innymi jako pokarm i ściółka dla zwierząt. Bardziej więc prawdopodobne, że w żłóbku, w którym położono nowonarodzonego Jezusa, raczej znalazła się słoma, a nie siano.

Na przestrzeni wieków, oprócz wartości użytkowej, siano i słoma miały również znaczenie rytualne, a nawet magiczne. W zależności od regionu były nieodłącznym elementem wigilijnej wieczery, umieszczane pod obrusem, kładzione na stole, rozścielane na podłodze czy rozstawione po kątach. W tradycji bożonarodzeniowej, obok ich symbolicznego wykorzystania jako rekwizytów obrzędowych, mają przede wszystkim przypominać o ubóstwie Świętej Rodziny i betlemskiego żłóbka.

# Żegnamy naszą autorke



Ze smutkiem informujemy, iż 16 listopada 2024 r. zmarła współpracująca z naszym kwartalnikiem **dr Agnieszka Dąbrowska**. Pani Agnieszka urodziła się 27 grudnia 1971 roku w Krasnymstawie. W latach 1992-1997 studiowała na Wydziale Ogrodnictwa Akademii Rolniczej w Lublinie. Od 2000 r. związana była z Ogrodem Botanicznym Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Prowadziła Dział Roślin Wodnych i Bagiennych oraz Dział Roślin Ozdobnych „Nad Stawami”, a w latach 2000-2009 także kolekcję kosaćców bródkowych. W roku 2007 przejęła również opiekę nad Działem Systematyki Roślin. W swojej pracy naukowej skupiała się min. nad zagadnieniami z zakresu biologii kwitnienia i zapylania oraz ochrony chronionych i zagrożonych wyginięciem roślin Lubelszczyzny.

Od lata 2022 dzieliła się z czytelnikami EKOgadki swoją rozległą wiedzą z dziedziny botaniki. Jej opowieści o drzewach, trawach, czy kwiatnych łąkach zawsze zanurzone były w szerokim kontekście przyrodniczym, historycznym, geograficznym i kulturowym, co przyciągało odbiorców. Po raz ostatni pani Agnieszka obdarowała nas swoją gawędą latem tego roku.

Będzie nam tych opowieści brakować Pani Agnieszko.

**Dziękujemy!**

# Z nadmiaru uczuć



FOTO: Oksana Cymbaluk. Z archiwum Jana Kondraka.

O tym dlaczego składa i wiąże słowa, jaka jest rola piosenki oraz kolejach życia artysty rozmawiamy z **Janem Kondrakiem**, poetą, kompozytorem i pieśniarzem, twórcą lubelskiego księstwa piosenki.

ADAM PRZYSTUPA

## Skąd w Pana życiu muzyka?

Właściwie to urodziłem się muzykując. Mój tata z amatorską grał na mandolinie i ładnie śpiewał. Wywodził się z rodziny Wawrentych z Siemierza i okolic, rodziny, która zasłynęła szeroko w okolicy rzeźbieniem i malowaniem świątków. Można o nich przeczytać w podręcznikach opisujących zjawiska folklorystyczne. Urodziłem się ze śpiewem na ustach, bo ojciec śpiewał i zachęcał do tego innych. Moi rodzice grali też na wsi w teatrze amatorskim. Wieś założyła teatr, sama wybudowała scenę z ładnie heblowanych desek, a potem wszyscy na tych deskach wstępowali. W czasie przedstawień teatralnych są antrakty, które ktoś musiał wypełniać. Robiłem to ja śpiewając zasłyszane w radiu piosenki. W ten sposób swój pierwszy występ zanotowałem w wieku trzech lat. Od tamtej pory właściwie nie schodzę ze sceny. Po prostu całe życie występowałem i było to dla mnie naturalne. Przy parafii był chór, do którego należeli wszyscy, kto tylko chciał, a więc i ja. Śpiewało się w niedzielę, w święta. W szkole też był chór. Dyrektor grał na skrzypcach, pani od muzyki grała na akordeonie. Kiedy poszedłem do szkoły średniej do Hrubieszowa okazało się, że tam też jest pewien rodzaj kształcenia muzycznego, więc ojciec kupił mi akordeon, bym uczył się na nim grać. Tylko, że ja nie chciałem grać na akordeonie, wstydziłem się to robić, robiłem to po łebkach. Dziś tego żałuję, bo to

było głupie. Po pierwsze akordeon jest doskonałym instrumentem i ma ogromne możliwości, po drugie była wtedy moda na nielubienie akordeonu i ja tej modzie uległem. Należało tego nie robić, tylko kształcić się muzycznie. Profesjonalna szkoła muzyczna była w Zamościu odległym o 40 km od mojej wsi, od Sahrynia. Musiałbym mieszkać w internacie, więc rodzice się na to nie zdecydowali.

## A kiedy zaczął się Pan zmagać ze słowem wiązonym?

Pierwsze próby miały miejsce w szóstej klasie, ale opowieść o tym należałoby zacząć od stwierdzenia, że moi rodzice byli niezwykli. Normalni ludzie pracują, lepią pierogi w kuchni, a moja mama oprócz tego wszystkiego jeszcze pisała wiersze maryjne i na wszystkie uroczystości religijne starała się przygotować jakiś tekst mową wiązaną. Nie wiem, czy proboszczowi to podobało czy nie, ale skoro parafianka napisała, teksty były wyświetlane przy użyciu rzutnika w kościele i wspólnie śpiewane.

Ojciec natomiast pisał teksty satyryczne, ale dość późno to wyjawiał. Dopiero, kiedy w nowej Polsce nastąpiła swoboda wypowiedzi zdecydował się to wszystko pokazać. To była satyra bardzo antyklerykalna, bo ojciec w odróżnieniu od mamy był zdecydowanie antykościelny. Podsumowując ani muzykowanie, ani tym bardziej śpiewanie nie było w mojej rodzinie niczym nadzwyczajnym. Nie było czynnością inną niż



wychodzenie w pole, czy do pracy. Pisanie natomiast nie dotyczyło wszystkich, ale ja z mową związaną byłem oswojony od samego początku i nie musiałem przełamywać żadnych barier.

**Kiedyś wspominał Pan o tym, że już w dzieciństwie otarł się Pan o poważną literaturę...**

Któregoś dnia zawezwał mnie proboszcz Michał Kot, który wiedział, że jestem w szkole w harcerstwie (zastępowy) i przekazał mi pamiętki po pisarzu Janie Dobraczyńskim, który w 1939 r. rozformował się, czyli przebrał się w cywilne ciuchy na plebanii w Turkowicach. Zachował się po nim krzyż Virtuti Militari z 1920 r. i jakieś drobiazgi. Wszystko przekazałem do harcerskiej izby pamięci, którą stworzyliśmy w szkole. Nie wiedziałem wówczas jakiej wagi są to pamiętki. Od proboszcza usłyszałem tyle, że to był markowy pisarz. Takie to było, to moje zetknięcie z dużą literaturą. Nie miało charakteru namaszczenia i nie odczułem tego, jako dotknięcie opatrności, które by mnie popchnęło w stronę twórczości. Tak tego nie odebrałem i tak to raczej nie było. Trudno powiedzieć, co mnie pchało w stronę literatury. Oprócz wszystkiego, co się dzieje w życiu potrzebowałem jeszcze innego nazywania tych samych stanów rzeczy. Pamiętam, że pierwsze moje takie nadmierne wzruszenie, które musiałem zwerbalizować, by lepiej sobie z nim poradzić, to był moment opuszczenia domu nauczyciela, w którym mieszkaliśmy. Ojciec robił wszystko, żeby nie mieszkać w Sahryniu, na tej ziemi przesiąkniętej krwią wielu niewinnych ludzi. W marcu 1944 r. podczas akcji połączonych sił Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich skierowanej przeciwko UPA wyrżnięto w pień ukraińskich mieszkańców wioski, starców, kobiety i dzieci. Mieszkaliśmy we wsi, w której nikt nie chciał mieszkać, włącznie z moimi rodzicami, którzy znaleźli się w Sahryniu na zasadzie nakazu pracy, który obowiązywał po wojnie. Kiedy tylko była możliwość ojciec wziął kredyt i wybudował się daleko za Sahryniem, poza siedliskami ludzkimi. Moment wyprowadzki tak mnie wzruszył, że musiałem napisać o tym jakieś rymowane wypracowanie. Podejrzewam, że następne moje próby literackie brały się dokładnie z tego samego powodu, z nadmiar emocji, z którymi coś trzeba było zrobić. Nauczyłem się kanalizować emocje w ten sposób, że sięgałem po długopis i pisałem. Mam wrażenie, że

potem moje pisanie w stanie wojennym brało się z nadmiaru uczuć, czy to patriotycznych, czy to z nadmiaru takiej egzystencjalnej rozpacz, że już przecież nas nic nie czeka, skoro nastał stan wojenny i komuniści się przy władzy utrzymają do końca świata. Trzeba więc skonstatować, że moje pisanie właściwie ma charakter odruchowy kompulsywny i terapeutyczny. Tematykę zaś podrzuciła historia czy to mojego życia, czy życia mojego kraju.

**Powstanie Solidarności spowodowało, że nie tylko Pan pisał, ale też zaangażował się w działalność w strukturach podziemnych...**

Kiedy pojawił się ruch Solidarności, pojawił się nadzieja. To był dla mnie naturalny odruch, ale i obowiązek. Jeszcze raz wrócę do postaci mojego ojca i tego jak go zapamiętałem. Kiedy wracał z pola, to już przeważnie nie miał czasu ani siły na nic. Musiał trochę odpocząć przy stole. Odbywało się to zawsze mniej więcej w ten sam sposób, czyli albo zdążył coś zjeść, albo nie, ale opierał głowę o stół i słuchał radia. Najczęściej było to Radio Wolna Europa, zagłuszane potwornie przez zagłuszarki. Tak zapamiętałem mojego ojca, z głową na stole przy odbiorniku i tak to opisałem w jednej ze swoich piosenek „nie będziesz czekał świtu z zachodu z głową na stole przy odbiorniku”. Byłem więc ustawiony przez ojca jako komunistyczny niedowiarek, bo szkoła bardzo intensywnie indoktrynowała a ojciec podważał te wszystkie głoszone tam prawdy delikatnymi pytaniami „Czy uważasz, że w szkole ci prawdę mówią? Nie mówią ci prawdy”. A kiedy pytałem „Tata, jak mi nie mówią prawdy, to uważasz, że wszystkich historyków w tym 36 milionowym kraju zastraszyli, wszystkich przekupili?” ojciec milczał, bo wiedział, że można wszystkich i zastraszyć i przekupić. Nie chcąc mi robić krzywdy, żebym nie żył w świadomości uciemnienia, w świadomości niewolnika, to nie kończył tych zdań tylko cały czas podważał te wszystkie komunistyczne prawdy wiary. Czasem opowiadał o sobie. Babcia uratowała mojego ojca przed długotrwałym więzieniem w ten sposób, że wyniosła broń i amunicję, które ojciec schował pod podłogą w domu. To był rok 1946. Kiedy babcia dowiedziała się, że mojego tatę UB aresztowało w kościele wyczyściła chałupę, wszystko wyniosła. Nagromadził broni, bo chciał walczyć. Najpierw z Niemcami, ale był za mały, nie przyjęli go do partyzantki. Potem chciał walczyć z Ruskimi, ale



FOTO: Z archiwum Jana Kondraka.



nie zdążył, nie nadarzyła się okazja. Aresztowali go, sprali go po plecach, potrzymali dwa tygodnie w wodzie po kostki i puścili, bo nie znaleziono materialnych dowodów winy. Tylko dzięki temu, że babcia w porę zareagowała. Tak więc, mój ojciec miał epizod antykomunistyczny, ale też był dosyć przytomny, był dosyć realistyczny. I tak byłem wychowywany w okresie absolutnej euforii komunistycznej w naszym kraju. Trzeba wiedzieć, że dopóki za Gomułki były jeszcze na wsi obowiązkowe dostawy, to cała wieś była zdecydowanie mocno antykomunistyczna. Kiedy przyszedł Gierek a z nim pożyczki z zachodu, zniknęły obowiązkowe dostawy i trochę łatwiej się żyło, można było wyjechać do Bułgarii do Złotych Piasków i mieć namiastkę czegoś czego na Lazurowym Wybrzeżu zażywają Francuzi. Ludzie zaczęli myśleć, że może to nie jest taki najgorszy ustrój, że może lepiej się z nim układać niż walczyć. Ja, kiedy wybuchła Solidarność nie mogłem postąpić inaczej, niż wystąpić jawnie przeciw komunizmowi, bo uważałem, że w ustroju liberalno-kapitalistycznym Polsce będzie lepiej. Uważałem, że bylibyśmy wtedy w stanie przysporzyć więcej dóbr z jedną ręką w kieszeni niż pracując dwoma w socjalizmie. Widziałem,

że ten system nas obezwładnia. Chciałem założyć rodzinę i wiedziałem, że w panującym ustroju skazuję siebie i moje dzieci na marazm, na straszliwą bylejakość. Dlatego chciałem jego zmiany i robiłem to zupełnie świadomie. Brałem udział w manifestacjach, od lutego do czerwca 1982 r. niemal co noc wychodziłem z kilkoma kolegami na dach akademika śpiewać wywrotowe piosenki i robiliśmy rozróbę na całe miasteczko akademickie, pisałem antykomunistyczne piosenki. Pierwsza piosenka jaką w ogóle napisano w stanie wojennym, była mojego autorstwa. Napisałem ją 16 grudnia 1981 r. w nocy wysłuchując z tego samego odbiornika, przy którym przysypiał ojciec, z Radia Wolna Europa, że w kopalni „Wujek” są ofiary śmiertelne. Dopóki nie ma ofiar śmiertelnych, to jeszcze można się wahać czy to jest na niby czy to jest poważne. To było poważne. Było się czego bać. Ryzyko, które podjęliśmy było duże, ale robiłem to świadomie. Posiedziałem trochę w areszcie za udział w manifestacjach ulicznych. Cały czas pisałem piosenki o tym wszystkim, co nas otacza, czyli byłem właściwie takim bieżącym kronikarzem dziejów. Część tych piosenek, przesłana na zachód, została przez Jacka Kaczmarskiego wyemitowana w „Wolnej Europie”.

#### Tato miał okazję ich wysłuchać?

Teoretycznie tak, ale on nie był pasjonatem tego co wypisywałem i wyśpiewywałem. Uważał, że marnuję talent, bo zamiast wykonywać piosenki, które wedle jego oceny nie mają szans powodzenia, powinienem śpiewać jak Jerzy Połomski, Mieczysław Fogg albo Irena Santor. Patrzył, jak lata lecą a ja nie robię kariery, na którą miałem być skazany odnosząc jako dziecko sukcesy w okolicznych wioskach czy gminach, na festiwalach harcerskiej piosenki. Odnosił się więc do tego z dużą rezerwą. Był osobą bardzo przytomną. Pamiętam, jak w dzieciństwie pokazywał mi w jak zły sposób, tylko odwadniając, melioruje się grunty. Nie uważał też, że rolnictwo należy chemizować, a jeśli uprawa ma być zintensyfikowana, jeśli chwastów ma być mniej, to wystarczy to zrobić zabiegami agrotechnicznymi. Pokazywał mi gatunki, które ginęły na jego oczach. Był bardzo tym zainteresowany. Pamiętam, jak mówił „Popatrz były miętusy i nie ma miętusów w stawie”. Uważał też, że farmeryzacja rolnictwa do niczego dobrego nie prowadzi, bo uprawa monokultur na dużym obszarze jest zagrożona przez

szkodniki. To są prawdy i prawidła, przeciwko którym wystąpiliśmy jako cywilizacja i musi za to przyjść kara. Takie rzeczy mnie interesowały, kiedy wychodziłem z domu. Dlatego pierwszym utworem, jaki śpiewałem jeszcze przed stanem wojennym była „Missa Pagana” Edwarda Stachury. Śpiewałem mszę pogańską, opartą na strukturze mszy gregoriańskiej, która cała jest oratorium na cześć matki ziemi, matki przyrody, na cześć stworzenia, tego wszystkiego co nie jest człowiekiem na kuli ziemskiej i w obronie tego przed człowiekiem. To mnie wtedy najbardziej pociągało. Chciałem walczyć o dobro planety, ale wywiązała się ta historia z Solidarnością a zaraz po tym ze stanem wojennym. Stachura nic na ten temat nie pisał, w związku z tym musiałem zacząć robić to sam. To wtedy, po raz pierwszy od szóstej klasy zacząłem znów pisać. To była liryka obywatelska na dość niezłym poziomie i właściwie to mi zostało do dziś. A że mam gdzieś w sobie wyrzuty sumienia, że nie poszedłem torem wyznaczonym mi przez oczekiwania ojca i rodziny i nie zrobiłem kariery jak Jerzy Połomski, od czasu do czasu piszę też piosenki tak zwane ładne, które nie mają innych obowiązków oprócz tego, żeby się podobać. Nie dotyczą spraw drażliwych, tylko opowiadają o relacjach męsko damskich albo o relacjach rodzic dziecko i wszyscy mogą je słuchać, bo każdego to jakoś dotyczy.

#### Idąc tropem kariery, w pewnym momencie pojawiła się myśl, by „być jak Tośka Krzyszoń”, by pojechać do Krakowa i wygrać Festiwal Piosenki Studenckiej...

O festiwalu bez przerwy się w naszym środowisku mówiło. Więc jeśli wszystkie opowieści w garderobie kończyły się w Krakowie, albo zaczynały się od Krakowa, kiedy słyszałem, że Tośka pojechała tam, wygrała i to było takie zwycięstwo, że wszystkich wbiło w fotel, to ja też chciałem wbić w fotel. Pod względem wokalnym nie czułem się i nie byłem gorszy od Tośki Krzyszoń. To ciekawe, bo jeśli mierzyć skalę głosu, w całej historii poetyckiego śpiewania w Polsce od nikogo nie byłem gorszy. W prostym wydechu mam trzy oktawy, innymi technikami

można by jeszcze ich ilość zwiększyć. Można powiedzieć, iż zostałem w tym względzie dość hojnie i buńczucznie obdarowany przez naturę i wystarczyło mieć pomysł jak to zagospodarować. W tamtym czasie łatwo usprawiedliwiałem się walką z komunizmem, gdzie nie wypadało używać form jakiś bardzo artystowskich. Funkcje estetyczne, trzeba było chować, eksponować przekaz. Solidarnie upodobałem się więc do wszystkich tych, którzy głosu nie mieli, a takich była znakomita większość. Kiedy próbowałem się wokalnie wyróżnić, środowisko mnie odrzucało jako kogoś, kto psuje im zabawę.

#### Sam występ na festiwalu w Krakowie miał charakter niezwykle...

Kiedy śpiewałem w Lublinie, nie miałem żadnych wielkich problemów z cenzurą. Jak się potem okazało dlatego, że nie rozumieli o czym są te piosenki. Do momentu, kiedy w 1985 r. wystąpiłem w eliminacjach do festiwalu w Krakowie. Do Chatki Żaka przyszło trzech cenzorów. Śpiewałem piosenki już wcześniej przepuszczone przez cenzurę, ale niestety opatrzyłem je komentarzem. Wtedy dostrzegli, że są antyustrojowe, choć nie mówiły o tym wprost. Była wśród nich piosenka o chłopaku z porażeniem mózgowym, który w okresie przedświątecznym nie może przejść przez ulicę. Śpiewałem też piosenkę o Sahryniu napisaną dla mojego ojca („nad Huczwą dawno już kosy złamane”) oraz piosenkę o Warszawie, o Pl. Emilii Plater i podróznym, który przytłoczony sinym światłem z dworca centralnego nie jest w stanie się z niego wydostać. To stało się metaforą panującego wówczas ustroju, z odwołaniem do Borysa Pasternaka. Po tych eliminacjach wysłano stosowny meldunek do Krakowa, więc kiedy tam pojechałem nie miałem co śpiewać, wszystko było skreślone. Zaczęłem się pakować, ale był tam wtedy przypadkiem, jeden jedyny raz, Andrzej Garczarek, którego zaproszono, by podczas jakiegoś koncertu zaśpiewał dwie piosenki. On mi poradził, bo był bardziej doświadczony, że należy pójść i pokłócić się trochę do cenzury. Tam siedziała pani Porębska, która skreśliła mi te utwory. Usłyszałem: „Pan



jest Jesienin a nie żaden Kondrak. Proszę pana, pan wygra ten festiwal, ale ja wtedy lecę z pracy. Chce pan, żebym wyleciała z pracy przez pana?" Wzięła mnie na współczucie. Pomyślałem - pewnie ma dzieci, nie będę jej z pracy wyrzucał. Więc mówię, że mi na tym nie zależy. Wtedy ona powiedziała: „Dobrze, pójdziemy na kompromis. Skreślę panu co drugi wers, tak żeby publiczność nic nie mogła zrozumieć. Ja wtedy będę kryta. Jurorzy mają ten tekst pokreślony, ale oni widzą, co tam jest a nagrody nie daje publiczność tylko jurorzy". Tak, zrobiliśmy. Śpiewałem tylko co drugi wers. Brawo bili tylko jurorzy, publiczność była zdezorientowana kompletnie, podobnie konkurencja. I nagle, to ja dostałem drugą nagrodę. Pierwszą dostał zespół „Hawar” złożony z studentów Akademii Muzycznej z Gdańska. Tak to właśnie było. To była jedyna moja tak poważna przeprawa z cenzurą, bo swoje teksty pisałem tak, że one nie były wprost. Z resztą to, co było wtedy wydawane w podziemiu, te odezwy antykomunistyczne, mnie nie przekonywało. To było za proste, ja chciałem pisać literacko. Starałem się więc, żeby to było osadzone w historii literatury, żeby w tym był jakiś namysł, nawias kulturowy, ironia. Nie chciałem pisząc dać się wpuścić w targanie się po szczękach, tylko opisywać rzeczy tak, żeby każdy sobie docierał sam do prawdy. Jak ładnie napisał po tym festiwalu krytyk i historyk piosenki Jan Poprawa „Kondrak pisze tak teksty antysystemowe, że nie spowodują one interwencji z zewnątrz". To chyba dobrze oddaje moje intencje z tamtych lat. Nie chciałem interwencji z zewnątrz, choć to ja napisałem wówczas, gdy inni się bali „Moskwo, Moskwo, pluskwo miast". Pytano potem, co mi zawiniło to miasto, ale ten mój młodzieńczy odruch, jak widać nawet dziś, jest prawidłowy. Moskwa potwierdza, że jest zbrodnica, bandycka i krwio pijna.

**W dniu, w którym rozmawiamy mija tysiąc dni od ponownej agresji Rosji na Ukrainę. Na tę sytuację również nie pozostaje Pan obojętny.**

Napisałem trochę tekstów. Sporo z nich opublikowałem „Akcent". Trochę tych moich współczesnych



utworów o Ukrainie zaśpiewałem, trochę rozdałem ludziom do śpiewania. Bardzo się tym przejąłem. Niewiele te piosenki zmieniają, ale troszkę jednak dają. Czasami piosenka staje się znakiem rozpoznawczym, znakiem, który funkcjonuje tak jak znaki rycerskie. Kiedyś na polu walki stosowano znaki wizualne, żeby chorągiew wiedziała, że tam, gdzie jest chorąży jest i dowódca i stamtąd przyplyną rozkazy. Piosenki też mają zdolność bycia takim znakiem. Za pierwszej Solidarności, takim znakiem rozpoznawczym były „Mury" Jacka Kaczmarskiego. Doszło nawet do tego, że zmieniano słowa w ostatniej zwrotce, bo nie pasowały do euforii zrywu, ale ta melodia, ten tekst Jacka stały się, chciał nie chciał znakiem rozpoznawczym, czyli hymnem. Od czasu do czasu pieśni taką rolę pełnią.

**Wróćmy do lat osiemdziesiątych. Sukces na festiwalu w Krakowie miał otworzyć drogę do normalnej kariery na bazie własnych utworów.**

Można powiedzieć, że ta droga prowadziła mnie do tego jakoś cholernie długo. Zajęcie jednego z pierwszych miejsc na festiwalu dało mi możliwość uprawiania tego zawodu. Zostałem zapisany w Ministerstwie Kultury i Sztuki i mogłem za swoje występy zarabiać. Te urzędowe stawki to były wtedy dobre pieniądze, ale pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęły się kończyć. Jeszcze trwał PRL a już wchodził rynek. Kluby studenckie, w których się śpiewało zaczęły być zamieniane na dyskoteki. Ten kawałek działalności państwowych uczelni został przez część studenckich działaczy sprywatyzowany i przynosił im całkiem niezłe zyski. Do takich ludzi jak ja odnosili się wrogo. Trzeba było wyciągać wnioski. Na początku lat dziewięćdziesiątych byłem prekursorem nagrywając piosenkę poetycką w profesjonalnych studiach. W moim przypadku niewiele to dało, ponieważ wydawnictwa muzyczne nie wiedziały co z tym nurtem muzycznym zrobić i czekały. Sam nie mogłem wydać płyty. Wreszcie zgłosił się człowiek, który się tym zainteresował, ale po roku czasu oddał mi nagrany materiał mówiąc, że nie ma teraz na to czasu, że może kiedyś, bo w międzyczasie zaczął



wydawać książki telefoniczne. Kiedy potem przez kolejny rok mój materiał przetrzymał Pomaton EMI, by samodzielnie wydać pierwszą płytę musiałem założyć stowarzyszenie. W ten sposób pojawiła się płyta „Romanse ballady". Zrobiłem to dlatego, że dziennikarze radiowi uzmysłowili mi, że jeżeli nie będę miał płyt, to nie będą mnie puszczać. Kasety magnetofonowe były już nie do przyjęcia. Miałem więc swoje piosenki na nośnikach cyfrowych i za każdym razem, żeby mi coś w radiu wyemitowali musiałem sam pojechać, udzielić wywiadu i wtedy puszczano mi jedną piosenkę. Nie miałem za sobą wydawnictwa, które w ramach promocji – a tak to wtedy wyglądało – zaprosiłoby dziennikarza na kolację, albo rozpoznało jego potrzeby i dostarczyło to czego potrzebował. Miałem jeden teledysk, który w lokalnej telewizji został zdarty do bólu, bo akurat tak się złożyło, że żeśmy się znali i lubili. Nie zostało to nigdy zrobione z poziomu Warszawy.

**W tych niesprzyjających niezależności artystycznej warunkach wykreował Pan coś, co ktoś kiedyś nazwał księstwem piosenki literackiej...**

Takie sformułowanie padło na jubileuszowym Festiwalu Piosenki Studenckiej. Zostałem zauważony i nagrodzony pozłacanym indeksem, jako ten, który nie tylko funkcjonuje w środowisku, ale jako ten, który je buduje. I tak rzeczywiście

było i jest, że zawsze upominałem się o obecność na scenie wszystkich, którzy są utalentowani. Nikt więcej tego nie robił poza mną. Tak jak już opowiadałem byłem laureatem tego festiwalu. To odbiło się jakimś echem w Lublinie, ale o niczym nie decydowało. W mieście funkcjonował studencki festiwal Bakcynalia, który dawał szansę takim grajkom jak ja, był Rysiek Borkowski, Mariusz Zadura, śp. Agata Budzyńska. Zaczynało to wyglądać na środowisko, ale nie byliśmy ze sobą zżyci. Nie tak jak środowisko młodych lubelskich poetów i pisarzy, do których się czasowo „przykleiliśmy". Można powiedzieć, że byliśmy bardziej piszącymi niż śpiewającymi, ale to miało się za chwilę zmienić, bo z nastaniem lat dziewięćdziesiątych nastąpił wysyp uzdolnionych osób, które podjęły się działalności w nurcie piosenki literackiej, kabaretowej i poezji śpiewanej. Tych ludzi było naprawdę dużo, trudno wszystkich spamiętać, ale tych, którzy wygrali choćby jeden duży ogólnopolski festiwal było ponad 10 osób. Lublinianie potrafili jednego roku wygrać osiem, dziesięć festiwali i trwało to przez dekadę. W połowie lat dziewięćdziesiątych widziałem, że coś w tym Lublinie i na Lubelszczyźnie zaistniało, że ta piosenka się rozwija. Do klubu „Kotłownia", w którym grywaliśmy w 1998 r. przez cały rok przychodziła masa ludzi. Każdy z nas śpiewał po jednej piosence a publiczność dostawała do

ręki teksty i śpiewała razem z nami. Co miesiąc zwoływałem wszystkich chętnych, nawet z odległych miast. Przyjeżdżali, bo mogli wystąpić przed naszym programem. Po roku takiej działalności, jeden z chłopaków powiedział, że trzeba to sprofesjonalizować, nazwać jako zespół. Kiedy wszyscy poza Jagodą Nają i Markiem Dyjakiem zgodzili się przystąpić do tej formacji nazwanej Lubelską Federacją Bardów w przeciągu jednego roku daliśmy radę zaistnieć na wszystkich festiwalach. Olsztyńskie Spotkania Zamkowe „Śpiewajmy Poezję” kończyły się naszym recitalem zarejestrowanym przez telewizję, potem Studencki Festiwal Piosenki wziął nas do oprawy uroczystości finałowych, w charakterze gwiazdy wystąpiliśmy na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Od tej pory przez 25 lat na festiwalach i festiwalikach nikt nie chciał grać po nas, bo wszyscy, którzy tego próbowali wypadali blado. Trzeba też powiedzieć, że w piosence literackiej, gdzie za normę przyjmuje się intelektualne szemrzenie strumyka, takie śpiewanie pod nosem, kiedy zastosowaliśmy energię czysto rockową, nagle staliśmy się bytem odrębnym i to zostało bardzo szybko zauważone. Zauważono też, że zarówno przed założeniem Lubelskiej Federacji Bardów, co nastąpiło w 1999 r. jak i po, wciąż jako Lubelszczyzna wygrywamy wszystkie amatorskie festiwale piosenki literackiej w Polsce. Zdarzył się bowiem tak, że założyłem na UMCS Klub Dobrej Piosenki, gdzie prowadziłem coś w rodzaju zajęć fakultatywnych dla wszystkich chętnych. Każdy, kto chciał i jechał na jakiś festiwal mógł przyjść i pracowaliśmy nad jego piosenką. Kiedy pochyliło się nad nią 20-30 osób, kiedy przeszła przez taki magiel, to autor sporo mógł się o niej dowiedzieć i mógł ją skorygować. Kraków to widział. Mało tego, oprócz dominacji w konkursach amatorskich, cały czas jest formacja zawodowa, która stoi za tym murem i w każdej chwili może wystąpić i pokazać klasę. Stąd pewnie mnie, jako temu, który to wszystko zwoływał na początku przyznano ten indeks założyciela księstwa piosenki. Tak to ktoś nazwał i taki tytuł mnie przyznano, ale dowody materialne na to, że to nie zostało wydumane, tylko to sobie wyorałem „z ziemi, tej ziemi” -są.

#### **Ma Pan satysfakcję widząc jak rozkwitają talenty młodych wykonawców?**

Nie nazwałbym tego uczucia satysfakcją, bo ja nie mam pozytywnych emocji. Miewam

wyłącznie negatywne emocje a ich brak jest dla mnie szczęściem w sensie arystotelesowskim. Brak cierpienia jest już dla mnie szczęściem. Nie wpadam w stan jakiejś euforii, ale gdzieś tam w środku jest mi ze sobą dobrze, kiedy widzę, że nie dałem się komuś zmarnować. Przy okazji takich pytań zawsze mówię, że nie mogłem przejść obok tych młodych ludzi obojętnie, bo jestem ze wsi. Mało tego, z takiej tradycyjnej roztoczańskiej wsi, gdzie mój dziadek zamiast natychmiast po żniwach robić podorywkę przetrzymywał rolę, by móc pójść i wybierać kłosa. Tych kłosek nzbierało się raptem dwa worki, ale przy religijnym stosunku do uprawy roli dziadek nie mógł postąpić inaczej, bo by się zmarnowały a marnotrawstwo było uznawane za ciężki grzech. I to przyświecało mi przez całe życie. Nie miało znaczenia, że nie zdążę zrobić nowych nagrań, polepszyć swojej sytuacji na rynku. Ledwie gdzieś jakieś artystyczniatko niewielkie zakwiliło w gniazdku zaraz starałem się stworzyć warunki, żeby mogło się rozwijać. Uczyłem na moich błędach. Mówiłem, macie iść do lepszych muzyków, uczyć się od nich, zapraszać ich do współpracy. Ja tego nie zrobiłem, bo mi było wstyd, bo nie miałem czym płacić, ale nie wiedziałem, że ci muzycy wcale nie chcą ode mnie pieniędzy. Zgłaszali się tacy, którzy chcieli ze mną pracować, ale ja wyniosłem z domu naukę, że jeśli nie masz czym za pomoc zapłacić, to nie możesz z niej skorzystać. Ludzie pytali, dlaczego odtrąciłem jako akompaniatora najlepszego studenta z Akademii Muzycznej w Katowicach. Poczul się urażony a ja myślałem, że nie jest możliwe, by przyjeżdżał do Lublina. Takie miałem wyobrażenie o świecie. Potem wiedziałem, że to był błąd, bo młodszy ode mnie Marek Andrzejewski nie miał najmniejszych problemów z zaproszeniem całego składu orkiestry z Katowic i miał doskonale zrobioną pierwszą debiutancką płytę z dobrym zespołem. Ja się na to nie odważyłem, ale teraz uczę tych młodych ludzi, że mają się niczego nie bać, mają inwestować w siebie, korzystać z pomocy innych. To przynosi dobre efekty. Stąd chyba ten złoty indeks. A to wszystko z tej mojej chłopskiej mentalności.

#### **Przez Lubelską Federację Bardów przewinęło się wielu artystów...**

Pierwszy skład był niezwykle mocny, bo oprócz tego, co mamy dziś był jeszcze Marcin Różycki i Igor Jaszczuk. To był dwa mocne



FOTO: Z archiwum Jana Kondraka.

męskie głosy. Stanowiliśmy taki sekstet, gdzie było pięciu dobrze śpiewających mężczyzn i jedna kobieta Jola Sip, zawsze swym głosem wyróżniająca się wśród śpiewających dam. Marcin Różycki przystąpił do Federacji trochę na swoich warunkach. To był człowiek, który żył w zgodzie z naturą i kierunkiem wiatru. Jemu praca w zespole nigdy się nie podobała, nie miał w sobie dyscypliny a wspólna praca, śpiewanie chórków to wyłącznie dyscyplina. Było tak, że przez ileś dni ćwiczyliśmy chórkę przed premierą w Hadesie a jego nie ma. Przychodzi na ostatnią próbę, jest nierówno, więc zostaje odstawiony na bok. Chórki śpiewamy sami a on wchodzi na scenę na trzy swoje piosenki. Automatycznie staje się największą gwiazdą tego programu, bo ci którzy od godziny stoją na scenie już się opatrzyli. Oczywiście Marcin bardzo dobrze śpiewał. Od pewnego momentu też bardzo dobrze pisał. Szybko do tego dojrzał. Opuścił naszą formację mówiąc, że nie bardzo widzi, do czego ona zmierza. Słusznie to zauważył, bo Federacja nigdy nie definiowała celu, do którego ma dojść. Miała po

prostu być, rozwijać się, pisać nowe piosenki, wydawać płyty. Potem nasze drogi przecinały się na różnych festiwalach. Zdarzało się nam nawet mu akompaniować. Zaś Igor Jaszczuk, który napisał dużo pierwszych przebojów Federacji wyjechał do Warszawy a potem do Niemiec. Igor potrzebował sukcesu komercyjnego i myślał początkowo, że Federacja jest pomysłem na taki sukces. I pewnie była, ale nie potrafiliśmy zrobić w tym kierunku wszystkiego co trzeba było zrobić. Trzeba było w to zainwestować, a wówczas w ekipie federacyjnej dominowało takie oto myślenie – nie wiadomo co będzie jutro, więc wszystkie zarobione pieniądze rozliczamy do zera. Brakowało też twardego mecenatu. Igor widział, że szybko nagraliśmy trzy płyty koncertowe, ale nasza pozycja rynkowa się nie zmienia. Jest cały czas niezła, ale taka sama. Szybko to porachował i uciekł do pracy w przemyśle fonograficznym. To były znaczące odejścia, które zespół odczuł. Nigdy jednak nie jest tak, że coś się kończy a w to miejsce nie przychodzi nowe. Piotr Selim, który niegdyś był akompaniatorem, mając szansę by śpiewać, mógł się rozwinąć, błysnąć i dziś nagle okazał się najlepiej sprzedającym się artystą w Lublinie. Doszła doskonała śpiewaczka i skrzypaczka Kasia Kowanek, która jako jedyna z nas ma pojęcie o pracy z chórem i uzmysławia nam, jak poprowadzić wielość, żeby optymalnie wykorzystać nasze zdolności i predyspozycje głosowe. Myśmy wcześniej tego nie wiedzieli. Są pewne kwestie, które lepiej wiedzieć niż nie wiedzieć, bo człowiek mniej się narobi a efekt jest lepszy.

#### **Teksty piosenek to kwestia natchnienia czy mozolnej pracy?**

W natchnienie nigdy nie wierzyłem, ale czasem coś w tym musi być, bo niektóre piosenki przychodzą nagle, gotowe, w całości. Nie wiem, na czym to polega, ale może właśnie to nazywają natchnieniem? Mocno wierzę w wiedzę ogólną i warsztat. Czyli, jeśli piszę po polsku, to powinienem dobrze znać język polski. Nie w sensie interpunkcji tylko zasobów leksykalnych, żeby mieć bieżący dostęp do możliwie dużego worka ze słowami, żeby móc sobie z tego wybierać i opisywać świat. Budowanie mojego warsztatu, to było przede wszystkim gromadzenie wiedzy, gromadzenie frazeologizmów, tych które poeci już wypracowali, żeby tego nie powtarzać, żeby nie popaść w grafomanię. Nie ma we mnie



żadnej regularności. Piszę wtedy, kiedy mam coś do powiedzenia. Czasem się zdarza, że piszę teksty dla kogoś. Wtedy mam narzucone terminy i trudno mówić o jakimś natchnieniu. Po prostu siadam i piszę. Bardzo dużo tekstów napisałem do przesłanej przez kompozytorów gotowej muzyki. To jest już innego rodzaju zabawa i ona właśnie wymaga warsztatu, bo bardzo często razem z melodią przychodzi też temat, który trzeba zrealizować. Trzeba to zrobić tak, jak jeszcze nikt tego nie zrobił. Mało tego, jeśli kompozytor jest też wykonawcą, to jeszcze ma życzenia, żeby w danym momencie była taka samogłoska, a w innym momencie taka samogłoska i żeby było jak najmniej spółgłosek. Wtedy najpierw piszę tekst „na rybkę”, zaznaczam te miejsca, gdzie mają być te samogłoski, a potem przypominam sobie trochę rozwiązywanie krzyżówek. Gdybym teraz pokazał teksty pisane w ten sposób i te pisane „po bożemu” nie sposób je rozpoznać, bo pracuję się nad nimi tak długo, aż z tych układanek, rozwiązywania krzyżówek powstanie coś co ma jakość i wartość literacką. To oczywiście wymaga dużej ilości czasu.

#### **Bywa, że wraca Pan do niedokończonych piosenek, że powstają etapami?**

Czasami tak bywa. Pamiętam historię związaną z piosenką „Postojowa” otwierającą płytę „Kto Co”. Miałem wymyśloną muzykę. Chodziłem z nią, jeździłem i nic nie przychodziło. Któregoś dnia poszedłem pobiegać, bo kiedy biegam zawsze koło szóstego kilometra mam najlepsze pomysły. Tyle tylko, że nigdy nie mam przy sobie nic do notowania i gdy wracam z treningu często już nie pamiętam. Wtedy wpadłem na pomysł, by się zatrzymać, zadzwonić do żony i poprosić, by zapisała mój pomysł. Wróciłem do domu i na podstawie trzech zapisanych słów odtworzyłem cały mój tok myślenia i jednym rzutem napisałem całą piosenkę.

#### **Jakie jest dziś miejsce poezji śpiewanej w świecie zdominowanym przez media elektroniczne?**

O dziwo, dzięki mediom elektronicznym poezja śpiewana zyskała twarz. Nagle okazało się, jak bardzo wielu ludzi uprawia ten gatunek pokątnie. Media ich ośmielają. Można tam spotkać tych, którzy niewiele potrafią, ale też takich, którzy potrafią niezwykle dużo. Jest wybór. Jeśli potrafisz skorzystać z tych narzędzi, to istnieje. Nagle okazało się, że jesteśmy w stanie,

nawet nie mając jakiś wielkich nazwisk sprzedawać duże ilości biletów. Zaczęliśmy grać takie same ilości koncertów jak wielkie gwiazdy estrady, czyli od 11 do 17 koncertów miesięcznie. Wszyscy ci, którzy mogą być zainteresowani tą piosenką mogą przyjść na koncerty dlatego, że jestem w stanie dotrzeć z informacją poprzez media elektroniczne. To kosztuje, ale już nikt więcej w tym nie pośredniczy. Tak więc ta piosenka poetycka ogromnie zyskała. W każdym mieście, miasteczku jest bard, bardotka, grają, zapraszają innych do siebie, potem jadą gdzieś w rewanżu. Ludzie cały czas jeżdżą, występują. Gdybyśmy generowali dźwięk jak pszczoły w czasie lotu, to bardowie w Polsce zagłuszyliby ruch uliczny.

#### **Bardzo dziękuję za rozmowę**

Było mi bardzo miło.



**Jan Kondrak**

*ur. 25 lipca 1959 w Hrubieszowie autor, kompozytor i wykonawca piosenek, tłumacz, publicysta i prozaik. Absolwent polonistyki na UMCS w Lublinie. Zdobywca nagród na Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie, Krajowego Festiwalu Piosenki w Opolu i świnoujskiej FAMY. Współzałożyciel Lubelskiej Federacji Bardów. Wyróżniony Złotym Indekssem na czterdziestolecie SFP w Krakowie za „utworzenie księstwa piosenki literackiej w Lublinie”. Wydał wiele płyt solowych (m.in. „Missa Pagana”, „Romans, Ballady”, „Czeska”) oraz z Lubelską Federacją Bardów. Napisał libretto kantaty jazzrockowej „Zakochani w Lublinie” na finał obchodów siedemsetlecia Lublina. Jako prozaik publikował w Kamenie, Kulturze Niezależnej i Tygodniku Współczesnym, Almanachu Prowincjonalnym, Akcencie, oraz w piśmie Piosenka. Autor i organizator Festiwalu Kultury Ekologicznej w Józefowie.*

# RZECZY POMIESZANIE

ADAM PRZYSTUPA

Czasem ważnych, czasem błahych, czasem intrygujących,  
ale zawsze prawdziwych...

**Twórcą sieci luksusowych hoteli Ritz** jest Szwajcar César Ritz (1850-1918). Zwany jako „Król hotelarzy i hotelarz królów” pochodził z ubogiej chłopskiej rodziny. Najmłodszy spośród trzynaścioroga rodzeństwa w wieku 15 lat trafił na przyuczenie do zawodu kelnera w hotelu w Berg. Niezadowolony z jego pracy właściciel miał mu powiedzieć „Nigdy nic nie zrobisz w biznesie hotelowym. Wymaga to szczególnego talentu, szczególnego stylu i słuszne jest, abym powiedział ci prawdę — nie masz tego”. Z innej restauracji został zwolniony za... rozbijanie zbyt wielu naczyń. Początki jak widać bywają trudne.

**Pierwszy raz nazwisko Williama Szekspira** w polskich źródłach pojawiła się w czasopiśmie „Monitor” w 1765 r., a więc blisko 150 lat po jego śmierci. Tymczasem nasz kraj pojawił się w sztukach pisanych przez mistrza ze Stratford cztery razy. Po raz pierwszy wzmianka o Polsce pojawiła się w „Komedii omyłek”, dramacie datowanym na lata 1592–1594. Dromio z Syrakuzy opisując wdzięki otylej kucharki mówi w nim: „Przysięgam, że jej łachmany i tój z nich wyciśnięty wystarczyłyby na polską zimę”. Innymi dziełami Williama Szekspira, w którym wspomina się o Polakach, są „Rządy Króla Edwarda III”, „Hamlet” oraz „Miarka za miarkę”.

**Współczesne bale studniówkowe** zwykł najczęściej otwierać znany co najmniej od 1829 r. polonez a-moll „Pożegnanie Ojczyzny” autorstwa Michała Kleofasa Ogińskiego (lub wedle innych źródeł Kaspra Napoleona Wysockiego) lub polonez Wojciecha Kilara napisany do filmu „Pan Tadeusz” z 1998 r. Do jakich melodii wodzone dawniej poloneza? Pisarz i historyk Władysław Łoziński w swej pracy „Życie polskie w dawnych wiekach” odnotował: „Najstarszą oryginalną nutą poloneza, według poświadczonych przez Niemcewicza tradycji, miała być śpiewana do dziś dnia kolęda „W żłobie leży”. Według tej nuty, na miarę polskiego tańca ułożonej, lubił podobno tańcować król Władysław IV”. Co ciekawe autorstwo tekstu tej kolędy przypisywane jest nadwornemu kaznodziei króla Zygmunta III Wazy, księdzu Piotrowi Skardze.

**We wspomnieniach Wojciecha Kossaka** odnajdujemy intrygujący fragment: „Urodziłem się w Paryżu, w noc Sylwestrową z roku 1856 na 1857. Zaznaczam ten szczegół dlatego, że dziwnym zbiegiem okoliczności mój brat bliźniak, Tadeusz urodził się po północy, czyli innego roku. Podług kodeksu Napoleońskiego, przychodząc na świat drugim, uznany jest za starszego, w tym więc wypadku paragraf ten uznaje mojego brata, urodzonego w r. 1857 za starszego ode mnie, urodzonego w r. 1856”.

**Holandia to zapewne jedyne państwo** na świecie, a na pewno w Europie, którego obywatele... zjedli swojego premiera. Oto od czasu wybicia się Republiki Niderlandów na niepodległość w 1648 r., w okresie zwanym przez samych Holendrów „złotym wiekiem” na polu politycznym trwała rywalizacja między zwolennikami rządu rządzonego przez oligarchię mieszczańską, zwaną regentami, a zwolennikami rządu kierowanego przez księcia Oranii. W 1653 r. na stanowisko Wielkiego Pensjonariusza Holandii został powołany przedstawiciel tych pierwszych Johan de Witt. Za jego rządów Niderlandy stały się mocarstwem i pierwszą potęgą morską świata. Niestety niepowodzenia w wojnie toczonyj z Anglią i Francją ściągnęły nań niezadowolone Holendrów, którzy w 20 sierpnia 1672 r. w wyniku spisku oranżystów fałszywie oskarżyli go i jego brata Korneliusza o zdradę, poddali torturom i w okrutny sposób zabili. Poćwiartowane ciała w części upieczono i zjedzono, w części obnoszono jako trofea.



**Za każdym razem, kiedy przychodzi jesień, dzień staje się krótszy a w perspektywie jest zima z jej chłodem wielu ludzi marzy tylko, by przetrwać ten czas śpiąc jak niedźwiedź, Ty zaś się cieszysz...**

Szaruga za oknem to coś co przytłacza również mnie, ale da się to oszukać. Kiedy przyjdzie zima korzyści, które niesie ze sobą światło słoneczne zastępuję mrozem. Najgorszy jest okres przejściowy, ale kiedy w nocy przyjdzie przymrozek można wskoczyć do beczki z zimną wodą...

#### **To sposób na przetrwanie zimy?**

Przetrwać trzeba okres jesienny a zimą trzeba delektować się zimnem i śniegiem. Mam nadzieję, że w tym roku będziemy mieli prawdziwą zimą.

#### **Kto Cię zainspirował?**

Trafiłem w internecie na kanał „Dziarski dziadek”, którego bohaterem był Antoni Huczyński, powstaniec warszawski. Opowiadał o swoich sposobach na zachowanie zdrowia i sprawności, o tym jak nacierał się śniegiem, jak jadł śledzie na śniadanie i nagle ten wówczas dziewięćdziesięcioletni postawił sobie beczkę z wodą w ogrodzie i zimą w niej zanurkował. Ja, niespełna czterdziestoletni wówczas, lekko zapuszczony pracownik biurowy IT, oglądałem z niedowierzaniem dziadka, który rozebrany biega po śniegu i cieszy się życiem.

#### **Naoglądałeś się filmów z panem Antonim i...**

I zamiast robić to, co teraz wszystkim radzę, czyli skontaktować się z lokalnym klubem morsów, aby ktoś bardziej doświadczony pokazał, jak to robić, włączył mi się tryb „jestem najmądrzejszy i sam będę testował”. Nie wszystko co robiłem było mądre, ale na szczęście jakiś czas później mój kolega ze szkoły podstawowej zamieścił na mediach społecznościowych zdjęcie, że morsuje w klubie. Całe lato się do tego przygotowywałem, brałem zimne prysznice, więc kiedy w listopadzie miałem po raz pierwszy wejść z morsami do wody, zanurzyłem się po szyję. Pod koniec sezonu już czułem niedosyt. Wtedy wszyscy jeszcze morsowali z rękami uniesionymi do góry ponad wodą, w rękawiczkach, czapkach i butach. Fajnie to wyglądało, tylko nie spinało mi się to logicznie, bo wchodzimy do zimnej wody, żeby się schłodzić i te trzy zakończenia ciała, które są receptorami zimna, czyli uszy, dłonie i stopy zakrywamy. Zacząłem szukać informacji i okazało się, że ta dziwna forma morsowania z czapkami i rękawiczkami praktykowana jest tylko w Polsce. Tam, gdzie zimowe zanurzanie się w wodzie ma

# Głosimy słowo lodu

O tym czy można zakochać się w mrozie, o frajdzie i korzyściach z morsowania rozmawiamy z **Pawłem Drozdem** prezesem Lubelskiego Klubu Morsów.

ADAM PRYZSTUPA





kilkaset lat tradycji, w Czechach, na Słowacji, w Skandynawii, czy na wschodzie robi się to bez ubrania. Przetestowałem to natychmiast i praktykuję do dzisiaj.

#### **Lubiłeś wcześniej zimno?**

Trudno powiedzieć. Kiedy człowiek jest pracholikiem cieszy się z niewielu rzeczy. Teraz wiem, że zima daje to co najważniejsze, że można się zatrzymać tu i teraz, poczuć to zimno. Jednego będzie to wkurzało, mnie cieszy. Świat jest wtedy piękny. Wychodzę z sauny, którą zbudowałem, wchodzę do beczki z wodą przy temperaturze -3°C, rozkładam się wygodnie, odprężam się w tym zimnie, często świeci nade mną księżyc. Trzy, cztery długie wydechy. Człowiek słyszy jak zwalnia tętno. Doświadczasz takiego tu i teraz, które ciężko opisać.

#### **Twoja pasja przerodziła się w styl życia. Na wywiad przyszedłeś w krótkich spodenkach i sandałach.**

To będzie już druga zima, którą całą przechodzę w sandałach. Trzy lata temu chodziłem w krótkim rękawie, długich spodniach i butach biegowych, ale czułem się dziwnie. Po latach treningu, kiedy w prawidłowy sposób schłodzę swoje ciało, „odpala się” we mnie reaktor i jest mi gorąco od środka. W sytuacji, gdy połowę ciała miałem zakrytą a drugą połowę odkrytą mózg nie do końca wiedział, jak to regulować. Stąd już w ubiegłym roku chodziłem przez zasy

w koszulce z krótkim rękawem, jeansach i sandałach. Było wspaniale. W tym roku przyzwyczajam moich klientów, że zjawiam się u nich przez całą zimę w krótkich spodenkach i sandałach.

#### **Nie przeziębiasz się?**

Próbuję, ale mi się nie udaje. Mało tego jeszcze 11 lat temu zanim rozpocząłem morsowanie miałem od dziecka chore uszy, bardzo łatwo je przeziębiałem i wtedy bardzo ciężko chorowałem. Nawracały anginy i ból zatok tak silny, że nie pomagały żadne tabletki czy naświetlenia. Od 10 lat nie pamiętam co to ból zatok. Przez dwa pierwsze sezony nosiłem opaskę narciarską na uszach, bo się o nie bałem, potem zacząłem normalnie nurkować w zimnej wodzie. W szafie zostawiłem sobie na pamiątkę tylko jedną czapkę, naszą klubową w kształcie morsa.

#### **Jakie korzyści oprócz zdrowotnych niesie ze sobą morsowanie?**

Morsowanie pobudza lepiej od kawy. Kiedy zanurzę się w zimnej wodzie, po 15 sekundach receptory się uspokajają, ciało się adaptuje, już nie jest tak bardzo zimno, można się uspokoić, można wychłodzić ciało. Dwie trzy minuty na początek, później trochę więcej, bo apetyty rośnie w miarę jedzenia. Zaraz po wyjściu z wody mózg się cieszy, nagradza endorfinami. Ich wyrzut pomieszany z adrenaliną jest tak duży, że człowiek nie wiadomo, dlaczego, ale się śmieje. To wiadać na zdjęciach, które robię naszym morsom.



Zawsze trochę trzęsie, ale te drgania to naturalny mechanizm, bo ciało się rozgrzewa. Potem w domu, na spokojnie, bez gorącego prysznica tylko w ubraniu, we własnym tempie dochodzimy do stanu równowagi. Jakies pół godziny, godzinę później jest ten moment, kiedy ciało osiąga 36,6°C, ale chwilo temperatura wzrasta nawet do 38°C i człowiek czuje się jakby wypił wiadro kawy. Dosłownie, gdybym miał szczotkę pod ręką to zacząłbym zmiatać. Przychodzi taki duży wyrzut energii, którą trzeba skanalizować, że ciężko to opisać. Dużo ludzi morsuje dla tego efektu. Na pewno przez wejście do zimnej wody budujesz swoją pewność siebie. Kiedy w życiu spotykają cię sytuacje stresowe, możesz złapać kontekst. Jeśli pamiętasz, że potrafiłeś wskoczyć do lodowatej wody wiesz, że potrafisz tę sytuację ogarnąć. Dla mnie to już jest standard, ale jakby nie patrzeć morsując jesteś w małej grupie, dla jednych elitarnej, dla innych grupie świrów, która nie tyle jest odporna na zimno, co to zimno znosi i czerpie z tego profity.

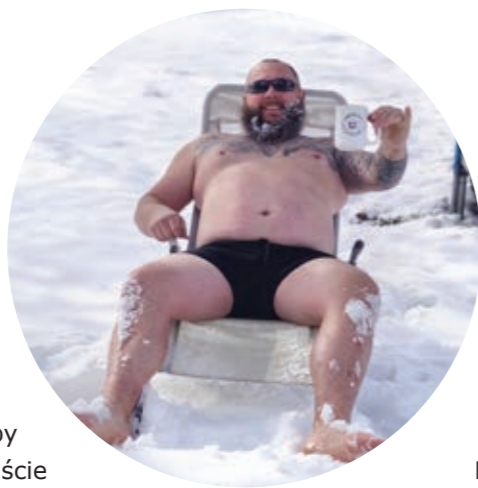
#### **Jako Lubelski Klub Morsów angażujecie się też w działania na rzecz innych.**

Często śmieję się, że w naszym gronie lądują ludzie z takim ADHD, że z jednej strony morsowanie uspokaja ich układ nerwowy, z drugiej z tego wulkanu energii, która wtedy eksploduje można jeszcze upichcić coś fajnego dla otoczenia, dla Lublina. Promujemy zdrowy tryb życia,

promujemy morsowania, idealnie wkomponowało się w to honorowe krwiodawstwo w ramach akcji „Lodowata krew z gorących serc”. Z resztą nie było wyboru, Henio nasz najstarszy mors jest honorowym krwiodawcą. Robimy przeróżne eventy m.in. coroczny „Bieg na golasa” nad Zalewem Zemborzyckim. Pierwszy odbył się przy temperaturze -12°C, choć wiatr sprawiał, że odczuwalna temperatura sięgała -20°C. Część z uczestników się ściagała, bo mamy wśród nas biegaczy, ale potem zrezygnowaliśmy z pomiarów czasu i biegamy dla przyjemności, dla przełamania barier. Rozebranie się do bielizny i butów (ja biegam na bosaka i mam kilku naśladowców) przy -10°C to duże osiągnięcia, które buduje pewność siebie.

#### **Organizujecie też różne spotkania tematyczne...**

Morsujemy w czapkach Mikołajów, w koronach Trzech Króli. Zorganizowaliśmy też „leżenie plażowe”, któremu towarzyszyła m.in. gra w piłkę plażową na śniegu. Sześć lat temu na zakończenie sezonu zorganizowaliśmy inscenizację bitwy Wikingów, a cztery lata temu imprezę w stylu lat 80-tych. Kiedy jest naprawdę mroźnie organizujemy nocne kąpiele. Spotykamy się na Tamie w kameralnych grupach, rzadko kiedy powyżej 15 osób. Jest ciemno, bardzo kameralnie, cicho a odczuwane bodźce są mocniejsze. Jeździmy też w góry, co roku wchodzimy w samych



szortach do Chatki Puchatka na Połoninie Wetlińskiej. Staramy się, żeby było bezpiecznie, każdy ma w plecaku ekwipunek awaryjny, choć lubelski klub morsów ma prezesa, który w sandałach lub na bosaka gania po górach. Stopy da się wyćwiczyć, ale oczywiście dochodzi się do tego małymi krokami. To pięknie podbija odporność przy dobrym ukrwieniu stóp. To wszystko da się wyćwiczyć. Guru morsowania Wim Hof biegał dłuższe dystanse na bosaka, potrafił wejść w szortach na Kilimandżaro czy przebiec w Alpach maraton. To dla mnie ważna postać. Dziarski Dziadek zmotywował mnie do rozpoczęcia morsowania, ale kiedy przeczytałem książkę o Wimie Hofie rozwaliło mi mózg. To człowiek, który oddechem i kontaktem z zimnem potrafi stymulować swój układ odpornościowy.

#### **Czy morsowanie ma także wymiar sportowy?**

Pojawiają się różne formy sportowe związane z zimowym pływaniem i czasem zastanawiam się, czy to nie zepsuje tej idei. Sam kilkakrotnie przepływałem Wisłę, ale rekreacyjnie. Pierwszy raz jako świeży, dwuletni mors na dystansie 300-400 m w Sandomierzu. Płynąłem z bojką ratowniczą, pod opieką WOPR-owców przy temperaturze  $-2^{\circ}\text{C}$ , choć za sprawą wiatru odczuwalna osiągnęła pewnie  $-10^{\circ}\text{C}$ . Rozgrzałem się, założyłem płetwy i od brzegu do połowy Wisły nic nie pamiętam, Świadomość wróciła w połowie dystansu. Dopłynąłem, wyszedłem na brzeg, lekka hipotermia, twarz się cieszyła. Trzy lata później pod Kazimierzem dystans, który początkowo miał wynosić 600 m wydłużył się do 2 km. Płynąłem około 25 minut. Problem pojawił się na 400 m przed końcem, kiedy już widziałem przystań. Zauważyłem, że płynę, ale nie czuję ciała od pach w dół. To mnie zaniepokoiło, ale stwierdziłem, że dam radę, tylko sobie mózg zająłem podnoszeniem cyfry 2 do kwadratu. Zadziałało i dopłynąłem do pomostu. Dwie osoby, które dotarły tam przede mną, po wejściu miały kłopot by utrzymać się na nogach. Na szczęście wyszedłem o własnych siłach, co ucieszyło panią z telewizji. Porozmawiałem z nią przez kwadrans, po czym podszedłem do ogniska i dostałem takiej

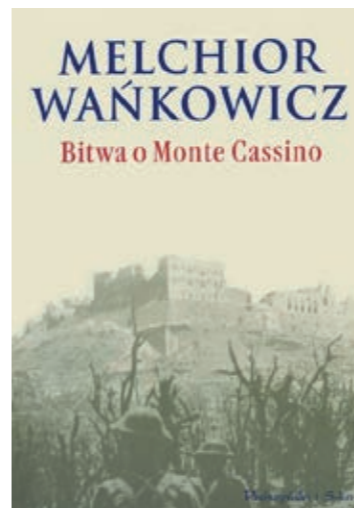
hipotermii drżeniowej, że nie kontrolowałem żadnego mięśnia, nie byłem w stanie napić się herbaty. Ciało się rozgrzewało. Nie byłem sam. Wszyscy się telepali przy ognisku, wszyscy z głupim uśmiechem.

#### **Morsować może każdy?**

Nie każdy, są wyjątki związane ze stanem zdrowia, dlatego dla bezpieczeństwa trzeba się skonsultować z lekarzem. Jeśli nie zabroni morsowania, niezmiennie zapraszamy jako Lubelski Klub Morsów w każdą niedzielę o godz. 12:00 na plażę Marina, a kiedy Zalew Zemborzycki zamrznie przenosimy się na Tamę. Potrafimy zgromadzić tam około 200, a czasem nawet 300 osób. Najmłodsze dzieci mają po 4-5 latek, najstarsi seniorzy powyżej 70 lat. Reprezentujemy bardzo szeroki przekrój społeczny i wiekowy, mamy różne doświadczenia zawodowe, ale podczas morsowania wszyscy jesteśmy równi i nikomu to nie przeszkadza. Wejście do zimnej wody wymusza zdjęcie masek, ról społecznych. W takiej chwili po prostu jestem człowiekiem, marznę, zauważam siebie, zauważam człowieka obok. Miejsce między nami jest dla każdego.

#### **Jak rozpocząć morsowanie?**

Jeśli nie ma przeciwwskazań zdrowotnych, dobrze się czujesz, zapraszamy najlepiej w styczniu, kiedy już robi się zimno. Powinniśmy mieć ze sobą strój kąpielowy, ręcznik, klapki kąpielowe, rzeczy do szybkiego przebrania się po kąpieli. Warto przyjść, przedstawić się, powiedzieć, że jest się pierwszy raz. Podczas morsowania obecne są osoby ubrane koszulki, na których widnieją informacje, że chętnie oferują pomoc. Taka osoba podczas pierwszego wejścia do wody będzie podtrzymywała za ręką, ja będę pomagał kontrolować, uspokoić oddech. Gwarantuje, po wyjściu na ustach pojawi się uśmiech. Potem drugie, trzecie wejście i ktoś taki jest nasz. Zafascynowany zostaje „świeżakiem”, który publikuje swoje zdjęcia, zachęca innych, głosi „słowo lodu”. Zazdroścę tego początkowego etapu zakochania. Morsowanie uzależnia. To zdrowe uzależnienie. Siedem lat temu ukułem takie powiedzenie, że „ćpamy zimno” i podtrzymuję to zdanie.



Udostępnione przez wydawnictwo Prószyński i S-ka.

RECENZJA **ADAM PRYZSTUPA**

## Warto przeczytać

Melchior Wańkowicz

„Bitwa o Monte Cassino”

Wydawnictwo Prószyński i S-ka

Jeszcze tylko kilka tygodni a za chwilę dni ledwie kilka i staruszek rok 2024 ustąpi miejsca swemu następcy. Ów, jak każdy przychodzący na świat, powita go z krzykiem, tyle że nie swoim a wiwatujących w sylwestrowym zapale. Jego poprzednik w ciszy rozgości się w zakamarkach naszej pamięci. Tej ostatniej ujdzie zapewne fakt, iż rok 2024 był rokiem Melchiora Wańkowicza. Bo też cicho było o tym, jakby nie 50 a zgoła 500 lat minęło od śmierci jednego z twórców polskiego reportażu. Przepraszam, zapomniałbym, nagrodzono właśnie Wańkowicza przesunięciem jego książek w szkolnym kanonie z listy lektur obowiązkowych na listę rezerwową, na której poznawanie zwykle nie staje czasu.

Napisałem o Wańkowiczu „jeden z twórców polskiego reportażu” brnąc tym samym w banał, powtarzając opinię prawdziwą acz niesprawiedliwą, bo to co pisał formie reportażu się wymyka. Dając zacząć nie stworzył wzoru, lecz styl swój na tyle osobny, że niepowtarzalny. Wywiedziony gdzieś z gawędy, pełen anegdot, zdradzających erudycję dygresji, oparty na zawstydzającym współczesnych bogactwie słownictwa i niebywałej lekkości pióra. Kto raz poznał jego pisanie, nie pomyli go z nikim innym. I musi uważać, bo jest duża szansa, że się w tym pisaniu zadurzy.

Pamiętam moją pierwszą lekturę „Bitwy o Monte Cassino” i wrażenie, jakie zrobił na mnie rozdział „Zabijany na raty”. Raz to za sprawą opisanych w nim losów starszego strzelca Tereszczuka, ale przede wszystkim ze względu na sposób, w jaki uczynił to Wańkowicz. Przenosząc bitewną narrację na pole przynależne medycynie dał dowód, że z pasją, barwnie i zajmująco można pisać o wszystkim. To zawsze jest kwestia pomysłu, warsztatu i talentu. Wtedy, jeśli dodać do tego szczerść, można zasłużyć na uznanie czytelników. Dość wspomnieć, iż po powrocie z emigracji na jego spotkania autorski, by pomieścić wszystkich chętnych trzeba było wynajmować warszawską Salę Kongresową.

Wiele lat później Aleksander Małachowski napisze, iż Wańkowicz miał „niespotykany dar odtwarzania prawdy o wydarzeniach, które znał tylko ze słyszenia. Bóg obdarzył go niezwykle czułym uchem, którym potrafił z licznych opowieści naocznych świadków, nieraz bardzo sprzecznych ze sobą, wyłowić esencję tego, jak było w rzeczywistości.” Pod Monte Cassino był osobiście. Nie na pierwszej linii walk o klasztorne wzgórze, ale jako korespondent wojenny na bieżąco zbierał świadectwa uczestników tej najcięższej i najkrwawszej bitwy na zachodnim froncie II wojny światowej. Ogrom reporterskiej pracy zaowocował blisko 600-stronicowym dziełem, pełnym szczegółów, pulsującym emocjami.

Nie jest łatwo pisać o historii a o wojnie w szczególności, by nie osiąść na mieliźnie suchych, nużących czytelnika dat i meldunków o ruchach poszczególnych jednostek czy związków taktycznych. Wańkowicz stworzył epicki obraz zmagania relacjonując je, w sposób na owe czasy nowatorski, oddając głos uczestnikom. „Ta książka jest poświęcona bitwie o Monte Cassino; ale nie wystarczy pisać o bitwie – należy pokazać ludzi, którzy tę bitwę zrobili. Dlatego od czasu do czasu sięgam do przedwojennych biografii, notuję zawód cywilny tych nauczycieli, handlowców, gospodarzy, którzy nagle spłonęli na stosie samoofiary” pisał. Kreśli przed nami sceny, które same proszą się, by być kiedyś przeniesione na ekran. Sceny bardzo realistyczne, czasem przerażające i porażające naturalizmem, czasem krzeszące uśmiech, innym razem znaczone patosem. „Cóż zrobię, że zda się to złą literaturą, kiedy muszę świadczyć życiu, nie literaturze” zauważy u kresu swego dzieła.

Zachęcam by po nie sięgnąć. Ignorantom na przekór.



SPACER Z ARCHEOLOGIEM

# TAJEMNICE ZAMKOWEGO WZGÓRZA

W naszych spacerach z archeologiem dr Rafałem Niedźwiadkiem zgłębiamy dziś nieoczywistą przeszłość lubelskiego wzgórza zamkowego.

ADAM PRYZSTUPA

**P**orozmawiamy dziś o wzgórzu zamkowym. Usadowiona na nim bryła zamku to obok Bramy Krakowskiej jeden z najbardziej znanych architektonicznych symboli Lublina.

Może na początek wyjaśnijmy czytelnikom, że to co to dzisiaj oglądamy i nazywamy zamkiem w istocie nim nie jest. To budynek w stylu neogotyckim wzniesiony z przeznaczeniem na więzienie w latach 1824-26 na ruinach dawnego zamku, włączając w obręb jego murów zabytkową kaplicę i donżon. Ślady murowanego zamku wzniesionego w XIV w. przez króla Kazimierza Wielkiego na miejscu grodu drewniano-ziemnego, ukryte są pod znaną nam dziś bryłą budynku. Niezbyt głęboko, bo wystarczy w niektórych miejscach zdjąć posadzkę, by zyskać dostęp do kazimierzowskich murów.

**Ów gród drewniano - ziemny a potem murowany zamek stanęły na wzgórzu, które dziś ma regularny kształt o wyrównanej, prostokątnej powierzchni, ale kiedyś – co dla wielu będzie zaskoczeniem – składało się z dwóch części rozdzielonych wąwozem.**

Każda część naszego miasta, może za wyjątkiem tych współcześnie zabudowywanych, ma zupełnie inną pierwotną morfologię w stosunku do tego, co widzimy dzisiaj. Przechodząc przez Stare Miasto nikt nie zdaje sobie sprawy, że ul. Rybna to dawny wąwóz, który - jeśli spojrzeć na osiemnastowieczny obraz „Pożar miasta



*Kazimierzowski mur obronny na którym wznosi się obecna południowa ściana zamku.*

Lublina” - zagospodarowano jako rynsztok odprowadzający ścieki. W ciągu wieków wypełnił się i przekształcono go w drogę. Podobnie ul. Królewska, ul. Świętoduska czy ul. Dolna Panny Marii kryją pod sobą wąwozy, które zostały zasypane i zastąpione arteriami komunikacyjnymi.



FOTO: Adobe Stock.



FOTO: Z archiwum Archee.

*Próba odtworzenia pierwotnej morfologii wzgórza zamkowego, średniowiecznych niwelacji oraz biegu wałów grodu.*

Tak samo było ze wzgórzem zamkowym. Jeśli stwierdzenie, że było ono dwuczłonowe będzie nieprecyzyjnym określeniem, to na pewno było ono rozczłonkowane. Między dzisiejszą lokalizacją muzealnej sali kinowej a krużgankiem biegł wąwóz, którym prowadziła droga wjazdowa od

strony doliny rzeki Czechówki. Śladem tego podziału wzgórza są pojawiające się u Jana Długosza określenia „zamek górny” i „zamek dolny”. To co uznalibyśmy za zamek górny było położone na zachodniej części wzgórza, które miało formę wypłaszczenia od przedbramia po donżon. Tam powstała nieistniejąca dziś kamienica królewska. Natomiast część wschodnia, bardziej rozczłonkowana a przez to trudniejsza do zagospodarowania, której niwelacje sięgają 12 metrów mieściła kaplicę zamkową i mansjonarię. Cała reszta ufortyfikowana była wałami drewniano-ziemnym, w miejsce których Kazimierz Wielki wstawił odcinkowy mur obronny.

**Najstarszym obiektem murowanym na wzgórzu zamkowym jest wieża obronna - donżon.**

To najstarszy obiekt murowany nie tylko na wzgórzu zamkowym, ale na zachodniej Lubelszczyźnie. Do dnia dzisiejszego jego datowanie nie jest w sposób pewny ustalone. Przez długi czas obowiązywała teza pani Jadwigi Teodorowicz-Czerepińskiej, iż powstał on z woli księcia halickiego Daniela po najejaniu Lublina w połowie XIII wieku. Miał na to wskazywać

rodzaj surowca, z jakiego zbudowano donżon. Identyfikacja do tego, z którego postawiono wieżę w Stołpiu koło Chełma, która bez wątpienia jest jego fundacją. Jednak takie rozumowanie zakładałoby bardzo duży wysiłek logistyczny, by tego rodzaju kamień przetransportować do Lublina przy pomocy setek wozów zaprzężonych w woły. Stąd podczas badań archeologicznych prowadzonych w 2019 r. pobraliśmy próbki kamieni z muru fundamentowego, które następnie przekazaliśmy do badań paleografom. Okazało się, że takie skały obecne są na zachodniej Lubelszczyźnie w okolicach Giełczwi. Pozyskanie budulca z tego miejsca, przetransportowanie go w dolinę Bystrzycy i spławienie pod wzgórze zamkowe wydaje się teorią bardziej prawdopodobną, choć nie rozstrzygającą kwestii, który z książąt wybudował donżon. Profesor Andrzej Rozwałka, który od lat mierzy się z zagadnieniem wzgórza zamkowego wskazuje na piastowskiego księcia Henryka Brodatego jak możliwego fundatora wieży szukając analogii architektonicznych (cyldryczny obrys budynku, konstrukcja klatki schodowej) z wieżą św. Jadwigi w Legnicy. nierozstrzygnięta pozostaje także kwestia czy donżon powstał w czasie jednej akcji budowlanej. W swej dolnej partii zbudowany jest z kamienia, w wyższych zaś z cegły. Stąd teoria, że pierwotnie wieża miała część kamienną zachowaną do dzisiaj, na której znajdowały się elementy drewniane. Za czasów Wacława II, Kazimierza Wielkiego czy nawet jak chcą niektórzy za Władysława Jagiełły podwyższono ją o część ceglana, w której umieszczono reprezentacyjne, odmienne niż w części dolnej, okna z maswerkami i okno biforyjne z kolumnką dzielącą je na dwie części.

**Nie znamy pierwotnej wysokości donżonu, możemy jednak powiedzieć, iż w XIII stuleciu jako jedyna budowla murowana górował nad grodziskiem drewniano-ziemnym. Jak mogło ono wyglądać?**

Pewne wyobrażenia jak wyglądały średnio-wieczne grodziska drewniano-ziemne dają nam wyniki prac archeologicznych na terenie grodziska w Sąsiadce (powiat zamojski). Odkryto tam wały o konstrukcji skrzyniowej. Izbice o wymiarach około 3 x 3,5 m układano z bali w technice zrębowej, wypełniając wnętrza ziemią. Duża szerokość wału sugeruje, iż mogły być dwa rzędy skrzyń. W fazach młodszych wał wznoszono na rozsypankach poprzednich. W najmłodszej



Widok od południa rozczłonkowanego wzgórza zamkowego, z „kamienicą królewską” na fragmencie sztychu Brauna i Hogenberga z 1612 r.



Odstanianie podwalin donżonu podczas badań archeologicznych w 2019 r.



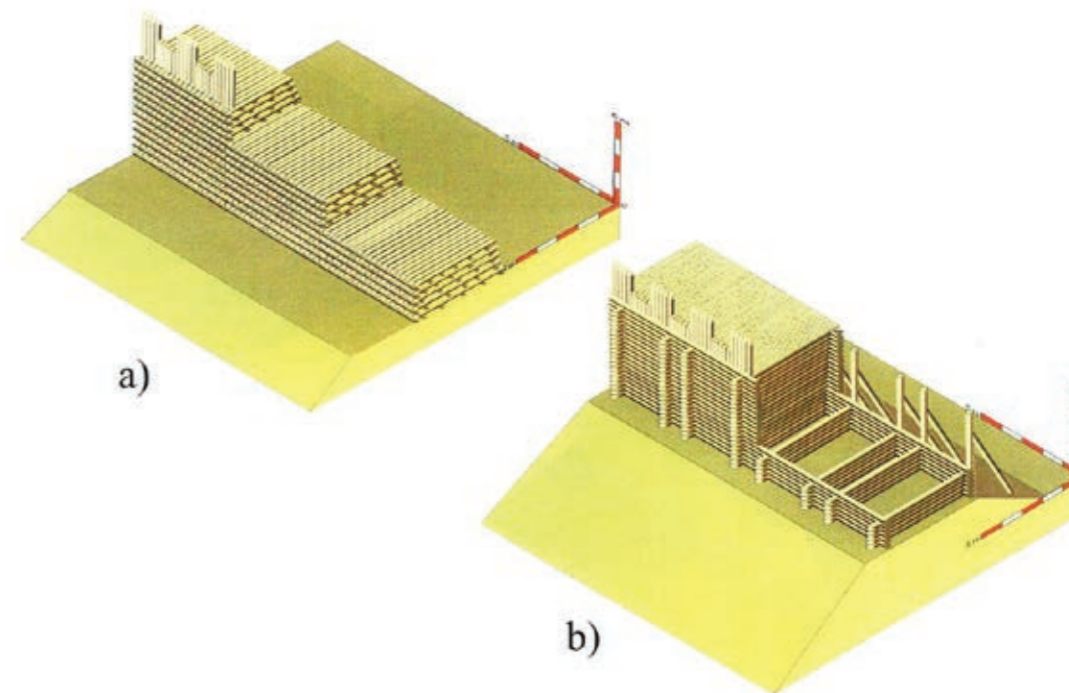
Okno w typie biforium na 3-ciej kondygnacji donżonu.

zbudowano też drewniane przedpiersie w formie palisady. Za tak skonstruowanym wałem znajdowały się budynki mieszkalne i gospodarcze. Oczywiście nie oznacza, że lubelski gród zbudowany był w ten sam sposób, ale biorąc pod uwagę, że nasze wzgórze zamkowe posiada strome skarpy naturalnym było ich umocnienie przez ustawienie skrzyń drewniano-ziemnych. Pamiętajmy, o tym, o czym mówiliśmy na początku naszej rozmowy – wzgórze zamkowe przez lata przechodziło swą ewolucję, dosypywano kolejne poziomy ziemi, po czym budowano nowe wały, czego odbicie odkrywamy w wykopach archeologicznych. Znajdujemy w nich poziomy nasypów ziemnych z konstrukcjami drewnianymi. Co do ich rodzaju nie można podjąć pewnych rozstrzygnięć z uwagi na zbyt mały zakres rozpoznania archeologicznego. Dolna część wału mogła mieć konstrukcję skrzyniową lub rusztową (taki wał składał się z bali ułożonych w rzędach, naprzemiennie wzdłuż i w poprzek jego biegu), górna natomiast mogła być zwieńczona drewniano-glinianą izbicą. Niektóre z poziomów nasypów wałów zostały wydatowane. Najmłodsza część odpowiada czasom Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego, natomiast wciąż otwartym pozostaje pytanie, kiedy powstały najniższe

poziomy. Czy jest to XIII w., kiedy wznoszono donżon, czy może wcześniej? Pojawiały się hipotezy, by wzgórze zamkowe uznać za lokalizację grodu wczesnośredniowiecznego, ale na dzień dzisiejszy nie jesteśmy w stanie tego udowodnić. Możemy natomiast stwierdzić, iż znajdowała się tam osada otwarta, w której ludzie zamieszkiwali już między VIII a X wiekiem. Pozostałości tego typu budynków mieszkalnych odkryliśmy podczas prowadzonych przez nas prac archeologicznych, natrafiono na nie również już podczas wykopalisk w latach sześćdziesiątych. Wzgórze zamkowe było więc jednym z tych wzgórz na terenie dzisiejszego Lublina, na którym istniało stałe osadnictwo już przed fazą grodową.

**Przesłanki natury historycznej skłaniają, by w grodzie ziemno-drewnianym ulokowanym na lubelskim wzgórzu zamkowym upatrywać ośrodka władzy książęcej w postaci np. siedziby kasztelana. Zważywszy, iż zachowana do dziś kaplica zamkowa jest obiektem murowanym, możemy postawić hipotezę, wedle której ją wybudowano, na terenie grodziska zlokalizowana była inna świątynia, siłą rzeczy starsza również od Kościoła pw. Św. Mikołaja na wzgórzu Czwartek?**

FOTO: Z archiwum Archee.



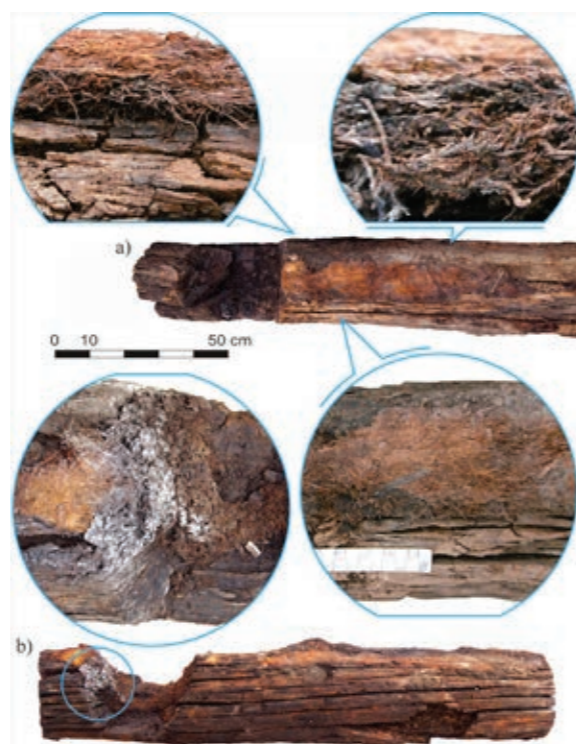
Przykłady rozwiązań konstrukcyjnych umocnień obronnych grodu w Lublinie a) wał przekładkowy (rusztowy), b) wał skrzyniowy (oprac. D. Bednarski).

Takie rozumowanie wydaje się słuszne. Kaplica zamkowa po raz pierwszy została wymieniona w źródłach pisanych w wykazach świętopietrza w 1326 r. Podziwiana przez nas dziś na wzgórzu zamkowym kaplica pw. Świętej Trójcy to świątynia w stylu gotyckim. Z inicjatywy króla Władysława Jagiełły jej wnętrze zostało udekorowane freskami w stylu rusko-bizantyńskim, ukończonymi w 1418 r. Dwukondygnacyjność kaplicy skłaniała historyków do myślenia o niej jako o obiekcie wielofazowym. Stąd prof. Irena Kutylowska sądziła, iż powstała ona z przebudowania starszej, wzniesionej przez Władysława Łokietka, wieży mieszkalnej o wnętrzu wspartym na jednym filarze (adaptowanej na nawę), do której dobudowano, również piętrowe, wieloboczne prezbiterium wysunięte poza linię obwodowych murów obronnych. Jednak badania architektoniczne prof. Marii Brykowskiej wykazały, iż kaplica powstała jako jednorodne założenie budowlane w pierwszej połowie XIV wieku z fundacji Kazimierza Wielkiego, przy czym jej budowa poprzedzała wzniesienie murów obwodowych zamku. Skoro więc mamy zapis o kaplicy na wzgórzu zamkowym pochodzący z 1326 r., a więc sprzed okresu panowania Kazimierza Wielkiego oznacza to, że musiał tam istnieć wcześniej inny obiekt sakralny. Wskazuje też na to odkryty w 1969 r. w zachodniej części dziedzińca zamku cmentarz datowany na XII w lub I połowę XIII w. Ponieważ cmentarze nie mogły istnieć bez obiektów sakralnych, więc ową świątynię wymienioną w źródłach pisanych należy wiązać z tymi pochówkami. W tym momencie wróćmy do początku naszej rozmowy o budowie samego wzgórza. Skoro przed okresem panowania króla Kazimierza Wielkiego rozpadliny wymagające niwelacji były tak duże, iż tylko część zachodnia nadawała się do tego, by na niej trwale budować, to właśnie w niej, gdzieś w okolicach odkrytego cmentarza, powinniśmy szukać kaplicy starszej niż ta istniejąca do dzisiaj. Wielu archeologów podejmowało takie próby, ale nikomu się to nie udało i myślę, że nasze pokolenie też tego nie dokona, ponieważ wątpliwe, by pozwolono na zerwanie nawierzchni dziedzińca i założenie tam wykopów. Warto w tym miejscu wspomnieć, że dopiero niedawno przeprowadzono analizy antropologiczne odkrytych w 1969 r. pochówków. O ile wyniki prac archeologicznych wskazywały wówczas na 14 szkieletów, najnowsze badania

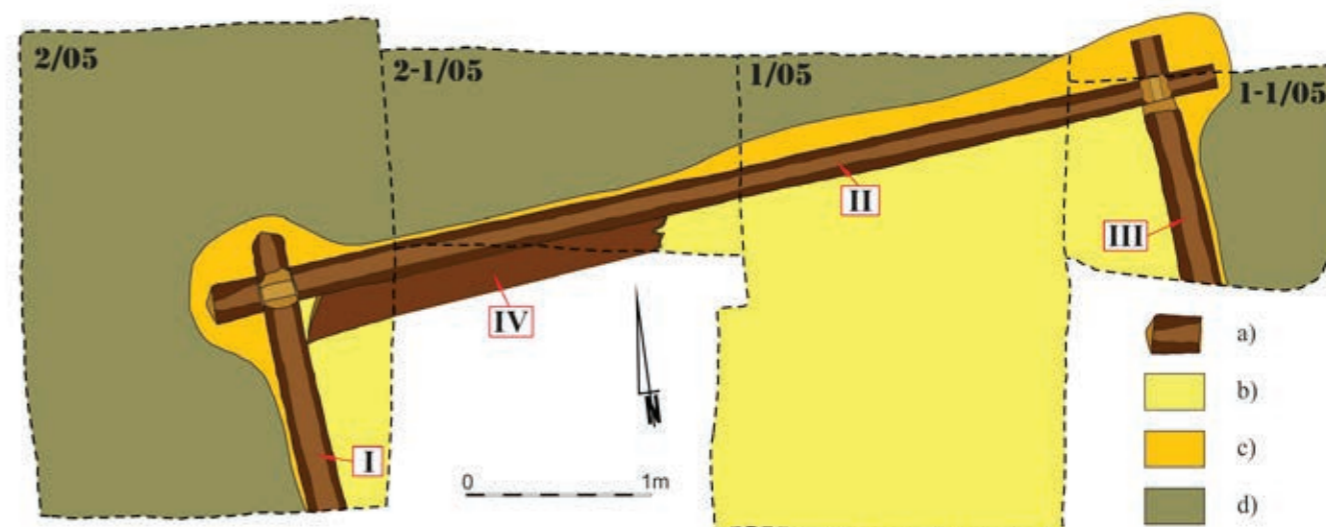
ujawniły obecność ponad 50 zmarłych. Tak dużą różnicę należy tłumaczyć tym, iż starsze pochówki były naruszane przy zakładaniu młodszych, a to w badaniach pozwala wydłużać czas istnienia grodu i obiektu sakralnego, który w nim funkcjonował. To logiczny ciąg myślowy, którego na dzień dzisiejszy nie możemy jednak potwierdzić w źródłach historycznych i archeologicznych.

**Jednym z ciekawszych aspektów prowadzonych przez archeologów badań wzgórza zamkowego są odkrycia na jego terenie śladów architektury drewnianej, nie tylko w kontekście wałów obronnych, ale również jako zabudowy mieszkalnej czy elementów traktów komunikacyjnych.**

Ślady zabudowy drewnianej na wzgórzu zamkowym, kryją w sobie jeszcze więcej pytań niż w przypadku budynków murowanych, ponieważ nikt z archeologów nie miał możliwości zakładać wykopów większych niż 2m x 3 m. Stąd czytamy je tylko we fragmentach. Próbujemy synchronizować wyniki badań z różnych okresów i na tej podstawie je rekonstruować. W taki sposób m.in. udało się ustalić długość belki ściany północnej



Przykłady zachowanych uszczelnień z mchu.

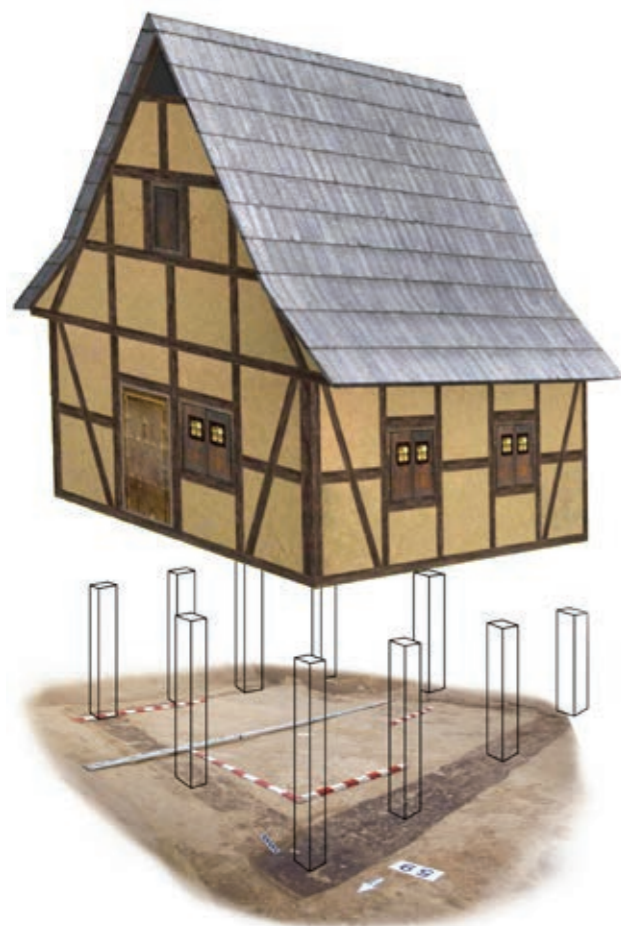


Zestawienie planów wykopów z relikwiami zabudowy drewnianej odkrytej na gł. od 1,5 do 3 m poniżej dziedzińca. Trzy budynki o konstrukcji zrębowej: północny – olszyna i brzoza, funkcja gospodarcza, szacowana długość 5–7 m; budynek południowo-zachodni – dębina, funkcja mieszkalna, dł. ponad 2,40 m; budynek południowo-wschodni – mieszkalny z podłogą drewnianą, dł. ponad 6 m (oprac. D. Bednarski).

jednego z budynków, która wynosiła 5,62 m. Jest to jak dotąd jedyny pełny wymiar boku domostwa średniowiecznego ze wzgórza zamkowego. Z całego budynku zachowały się trzy belki podwalinowe łączone na zrąb. Okrągłaki były okorowane, a ich średnice wynosiły 18 i 19 cm. Na ich górnych powierzchniach znajdowały się podłużne żłobienia, o głębokości około 1 cm. Służące do uszczelnienia przestrzeni międzybelkowych. Do tego celu stosowano odpowiednio dobrany i przygotowany mech, który układano w bruzdach podczas montażu ścian. Wewnątrz budowli natrafiono na pozostałości podłogi z desek. Obecność podłogi oraz izolacji szczelin powstałych pomiędzy kłodami pozwala uznać ją za założenie mieszkalne. Przeprowadzona analiza dendrochronologiczna profesora Marka Krąpca wykazała, że okrągłaki były wykonane z drewna dębowego i pochodziły z drzew położonych w latach 1339 i 1343. Podczas prac archeologicznych w 2007 r. odkrywano również ślady zabudowy mieszkalnej datowanych dendrologicznie na wiek XIII, natomiast podczas badań z 2019 r. odsłonił się pozostałość zabudowy typu półziemiankowego, dla której jako pierwszej w tej części Lublina uzyskano daty radiowęglowe. Oscylują one pomiędzy 668–778 cal. AD. co wskazuje na najstarszy obiekt drewniany na wzgórzu zamkowym.

**Czy odwołując się do wiedzy historycznej i analogicznych znalezisk z innych rejonów Polski, mamy wyobrażenie, jak wyglądało średniowieczne budownictwo drewniane? Możemy sobie wyobrazić wygląd tych domostw stojących przed wiekami na wzgórzu zamkowym?**

Głównym budulcem charakteryzującym się dużą twardością i wytrzymałością wykorzystywanym w inwestycjach książęcych była dębina. Ludność wiejska, jak i zamieszkująca osiedla typu miejskiego rzadko stosowała dębinę, za to powszechnie sięgała po inne dostępne gatunki drewna, głównie sosnę. Z tych względów stawiane wówczas domy nie były trwałe, a zamieszkiwał je zazwyczaj jedno pokolenie gospodarzy. Wyniki badań archeologicznych przeprowadzonych na wzgórzu zamkowym dostarczają danych świadczących o tym, że w ciągu XIII i 1. poł. XIV w. najczęściej w budownictwie drewnianym stosowano konstrukcję zrębową. Kojarzona jest ona ogólnie z budownictwem słowiańskim. W takim systemie stawiano domy w okresie wczesnopolskim, zarówno w grodach i osiedlach miejskich, jak też na wsiach. Domy wiejskie były przeważnie zagłębione w podłoże – tzw. ziemianki i półziemianki, natomiast w osiedlach wczesnomiejskich dominowały budowle naziemne. W Krakowie, w okresie od IX



Zestawienie relikwów średniowiecznego budynku szachulcowego oraz jego możliwej rekonstrukcji, odkrytego w 2016 r. na placu Litewskim.

do pocz. XIII w., wznoszono budynki zagłębione w ziemię o długości ścian dochodzących do 3,50 m oraz naziemne osiągające wymiary 5,0 x 5,0 m. Można przypuszczać, że rozpowszechnienie konstrukcji zrębowej na obszarze wschodniej Europy wiązało się z lepszym dostępem do odpowiedniego drewna, czyli długich bali. Rozwój na zachodzie Europy konstrukcji szkieletowych tłumaczyć należy brakiem właściwego budulca. Wycięcie lasów obfitujących w wiekowe pnie wykształciło w cieślach umiejętność wznoszenia konstrukcji z krótkich belek, które łączono na różne, często skomplikowane sposoby. W okresie późnego średniowiecza ta myśl technologiczna zaszczerpiona została również przeniesiona na teren Polski. Wracając jednak do konstrukcji zrębowej. Wysokość takich domów wznoszonych na terenach zamieszkałych przez Słowian szacuje się na 3,40–3,60 m. Zakłada się, że budynki były parterowe, a ściany składały się z 12 belek. Okrągłaki użyte jako budulec były okorowane. Do nielicznych należały bierwiona ociosane w kantówkę, w przekroju zbliżone do kwadratu

lub prostokąta. Opierając się na danych etnograficznych, przyjmuje się dla domów zrębowych proporcje wysokości ścian do wysokości dachu w stosunku 2 : 1. Biorąc to wszystko pod uwagę oraz fakt, iż odkryte na lubelskim wzgórzu belki ścienne miały średnicę od 16 do 26 cm, możemy oszacować wysokość ścian na 192-312 cm, a budynków z dachem od 3,0 do 4,5 m. Sam dach był dwuspadowy, rzadziej czterospadowy. We wczesnym średniowieczu powszechnie stosowano dwa rozwiązania: na sochę i ślemię, oraz dachy ślegowe. Trudno dziś zidentyfikować rodzaj materiału jakim kryto dachy, ze względu na ich nietrwałość. Mogły to być strzechy trzciniowe albo słomiane, jak również dranice uszczelniane korą brzożową lub gont.



## dr Rafał Niedźwiadek

*Absolwent archeologii na UMCS w Lublinie i UR w Rzeszowie, pracownik naukowy Instytutu Archeologii UMCS w Lublinie. Autor i współautor ponad 80 publikacji, w większości opisujących dzieje Lublina i Lubelszczyzny. Założyciel firmy Archee Badania i Nadzory Archeologiczne prowadzącej m.in. w latach 2001-2002 badania archeologiczne w archikatedrze lubelskiej (ponad 100 pochówków znalezionych w kryptach i najliczniejsza w Polsce kolekcja ubrań staropolskich), w latach 2003-2004 pierwsze badania archeologiczne na Lubelszczyźnie towarzyszące budowie dróg szybkiego ruchu, w latach 2007-2011 prace archeologiczne w Teatrze Starym w Lublinie, badania archeologiczne na pl. Litewskim (2016), deptaku i pl. Łokietka (2018).*

FOTO: Adobe Stock.



Jerzy Liebert

## Pasterka

Bratu

**Ptaki niby dzwoneczkami cieszą się kolędą –  
Chrystus nam się narodził i nowe dni będą.**

**Do stajni Betlejemskiej aż do brzegów Wisły  
Z ptakami smukłe sarny dziwować się przysły.**

**Wiewiórka zęby szczyrzy i w niebo się patrzy,  
Jak dwa gołębie płyną na błękitnej tarczy.**

**I kwiaty, choć to zima, czas mroźny i cichy.  
Niosą myrrę, kadzidło i złote kielichy.**

**I pawie przyfrunęły z krajów cudzoziemskich,  
By swe pióra przyrównać do skrzydeł anielskich.**

**A mały Chrystus smutny w drzwi patrzy i czeka,  
By wśród witających zobaczyć człowieka.**

1925



## FELIETON ADAMA PRZYSTUPY

## Opowieść sześćdziesiąta szósta

# Pod znakiem holendrowania

Tej jesieni przedświąteczny wyścig po wartość naszych portfeli rozpoczął się już przed Dniem Zadusznym. Wyjątkowo wcześniej. Kto wie, może za przykładem prezydenta Wenezueli Nicolása Maduro, który kolejny już raz ogłosił zmianę daty Świąt Bożego Narodzenia wskazując na piętnasty dzień października? Na sklepowych półkach pośród ozdób zagościły

bombki i plastikowe zaprzęgi ciągnione przez renifery, w dziale z płytami pod mylącym napisem „kolędy” winyły zespołu Wham i Mariah Carey. Chwilę później przy wtórze ich okołoswiątecznych piosenek z niecierpliwością i zapamiętaniem ruszyła fala kupujących i zdać się mogło, że zakup prezentów dla niektórych jest tych świąt istotą. Walka o okazje, promocje, przeceny, ostatnie egzemplarze. Często mniej romantyczne niż te, z uroczej komedii „Serendipity”, u nas znanej jako „Igraszki losu”, gdzie para rękawiczek, którą jednocześnie próbują kupić John Cusack i Kate Beckinsale staje się pretekstem dla zawarcia znajomości. Nieznajomi poświęcają sobie zrazu kilka chwil w restauracji o nazwie „Serendipity”, by się rozstać, bo dziewczyna chce się przekonać, czy są sobie pisani. Zdaje się w tym na los. Swój numer telefonu zapisuje na kartce książki, którą obiecuje oddać do antykwariatu, zaś banknotem, na którym mężczyzna zapisuje swój numer telefonu płaci za miętówkę. Jeśli są sobie pisani, uda im się siebie odnaleźć. Zdała się na szczęśliwy przypadek, czyli jak mają Brytyjczycy serendipity.



Wielki słownik angielsko-polski podaje, iż zwrot „by serendipity” winniśmy rozumieć jako „szczęśliwym trafem”. Ów zwrot zaistniał w języku angielskim za sprawą pisarza, hrabiego Horacego Walpole, twórcy gatunku zwanego powieścią gotycką, który zaczerpnął go z perskiej baśni „Trzej książęta Serendip”. Jej bohaterowie zostają wygnani przez ojca, króla dalekowschodniego kraju Serendippo,

do obcych krain, by tam nabyli wiedzy i życiowego doświadczenia, które kiedyś pozwoli im przejąć sukcesję. Podczas swej wieloletniej wędrówki dzięki połączeniu swej przenikliwości i zrzędzeniom losu dokonują odkryć, których nie oczekiwali. Nie inaczej jest w przypadku bohaterów komedii wyreżyserowanej przez Petera Chelsoma – szczęśliwy finał możliwy jest nie tylko dzięki za-

biegom zakochanych, ale i splotowi na pozór niewiele znaczących zdarzeń. Znacze to z własnego doświadczenia? Czasem nie potrafimy wyjaśnić naszych wyborów. Tego, co skłoniło nas, by postąpić tak a nie inaczej. Co sprawiło, że znaleźliśmy się w określonym miejscu i czasie. W „Igraszkach losu” taki miejscem jest otwarte sztuczne lodowisko Wallmana położone w południowo-wschodniej części nowojorskiego Central Parku. To malownicze miejsce otwarte dla łyżwiarzy od października do kwietnia, w miesiącach letnich jest miejscem słynnych koncertów.

Można by pomyśleć, iż sztuczne miejskie lodowiska, to wynalazek zza oceanu, bo Amerykanie zwykli wykazywać się dużą inwencją na polu

rozrywki, zwłaszcza, gdy można na tym zarobić. Nie bardziej mylnego. Pierwsze sztuczne lodowisko, czyli publiczna ślizgawka niezorganizowana na zamrożonym zbiorniku wodnym, zbudowano w listopadzie 1841 r. w Londynie, w dzielnicy Marylebone. Wszystko za sprawą niejakiego Henry’ego Kirka, który opatentował swój pomysł na zastąpienie trudnego w utrzymaniu w odpowiednim stanie naturalnego lodu. Remedium na wahania temperatury miała okazać się mieszanka soli i siarczanu miedzi oraz „smalcu wieprzowego, aby uczynić je bardziej śliskim”. Pierwsze udane próby skłoniły wynalazcę do dalszych inwestycji – rok później przy słynnej Baker Street otwarto lodowisko o powierzchni 3000 stóp kwadratowych, czyli około 279 m<sup>2</sup> i nazwano mianem Glaciarium. Przykładając dzisiejszą miarę – było niewielkie. Współczesne lodowisko do hokeja jest pięć razy większe, wspomniane wcześniej lodowisko w nowojorskim Central Parku przeszło szesnaście. Glaciarium Kirka nie było wynalazkiem doskonałym. Sztuczny lód okazał się jednak kosztowny i trudny w utrzymaniu, nadto wieprzowy smalec przydawał mu specyficznego zapachu. Przełomowym okazał się rok 1876, w którym John Gamgee stworzył pierwsze

szucznie mrożone lodowisko przy King’s Road w Chelsea. Gamgee był... weterynarzem, który podczas podróży do Stanów Zjednoczonych, gdzie studiował problem teksańskiej gorączki u bydła, zainteresował się nowinką technologiczną – pierwszymi urządzeniami chłodniczymi wykorzystywanymi w przemyśle mięsny i browarniczym. Zainspirowany, skonstruował własny model Glaciarium wykorzystujący pod taflą lodu podłogę z miedzianych rur, w których krążyła mrozująca ciecz w postaci mieszaniny gliceryny z eterem, nadtlenkiem azotu i wodą. Sztuczne, całoroczne lodowisko przyciągało przede wszystkim zamożnych klientów, którzy posmakowali uroków jazdy na łyżwach podczas zimowych wypraw w Alpy. Stąd tafla Glaciarium Johna Gamgee, podobnie jak wcześniej lodowisko Kirka, otoczone było malunkami przedstawiającymi urokliwe pejzaże z okolic szwajcarskiego Jeziora Czterech Kantonów. Popularność wynalazku można mierzyć ilością podobnych inwestycji – w 1900 r. w Londynie było już 11 tak chłodzonych lodowisk. Oczywiście przez lata technologię udoskonalano, ale rzecz można, iż większość współczesnych sztucznie mrożonych „ślizgawek” to twórcze rozwinięcie pomysłu brytyjskiego weterynarza, który zainteresował się tym tematem ze względu na potrzebę utrzymania świeżości importowanego na Wyspy mięsa. Nie będzie więc chyba nadużyciem, gdy ów wynalazek zaliczymy w poczet serendipity.

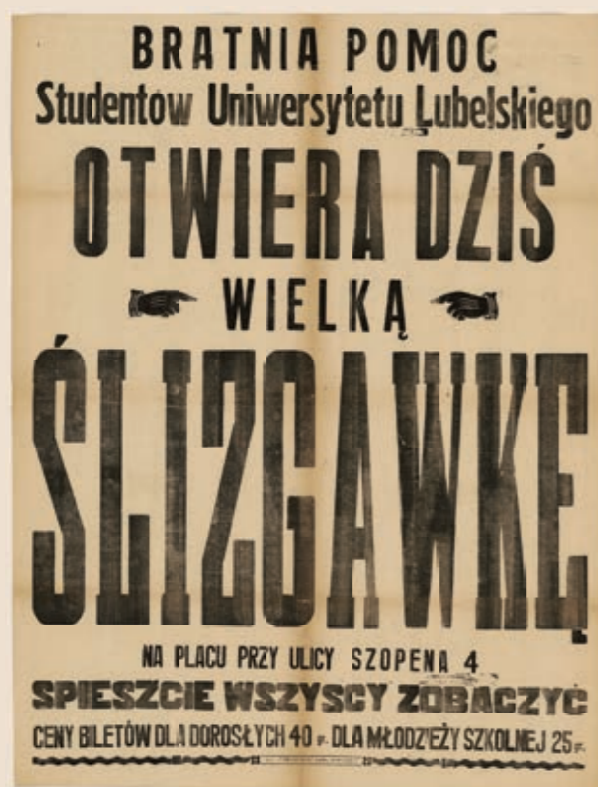
Serendipity o nader pożądanym dziedzictwie. Im bliżej grudnia na placach i skwerach wielu miast wyrastają czasowe odkryte lodowiska. Wyrastają, by szybko wypełnić się amatorami jazdy na łyżwach. „Jest radość, krzyk, śmiech, są gwizdy, awantury, gonitwy, przechwałki, flirty, popisy, sprzeczki” – opis Leopolda Tyrmanda z kart „Złego” nie stracił na aktualności. „Chrzęst łyżew, kolorowe zygzaki, usmarkane z wysiłku, mrozu i radości twarzyczki dzieci” – to się nie zmienia. Tylko dostęp do łyżew łatwiejszy a one same bardziej szykowne i nowoczesne niżli wtedy, gdy śmigano „na różnych rodzajach łyżew, na przykręcanych, przypinanych paskami i przytwierdzonych do specjalnych butów. Na turfach, śniegórkach, halifaxach, hokejach, panczenach.” Te dzisiejsze tną lodową taflę w ten sam sposób.

Właśnie, czy na pewno lodową? Dziś coraz częściej łyżwiarze kreślą swe figury, uczą się



FOTO: Polona.

FOTO: Wikipedia.



„przeplatanki” na „plastikowiskach”. Ułomny ten mój neologizm, ale usprawiedliwiony. Od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku próbuje się zastąpić naturalny lód tworzywem sztucznym. Zrazu był to opracowany przez firmę DuPont polimetaksylen, który by zmniejszyć opory tarcia pokrywano silikonem. Ów nie miał tak przykrego zapachu jak stosowany sto lat wcześniej smalec wieprzowy, ale gromadził się na powierzchni, zbierając brud i zanieczyszczenia. W latach osiemdziesiątych polimetaksylen został zastąpiony polietylenem o wysokiej gęstości (HDPE), który, wszakże też trzeba spryskiwać specjalnym płynem poślizgowym. Doskonalszym, nie zbierającym zanieczyszczeń, ale sprawiającym, iż właściwości ślizgowe „plastikowego lodu” mają około 85% poślizgu lodu naturalnego.

Szukam informacji o technologii sztucznych lodowisk u źródła, w publikacjach ich producentów i uśmiecham się gorzko. Patrzę jak w swojej walce konkurencyjnej, rywalizacji o rynek okładają się wzajem pałką ekologii. Sprzedawcy syntetycznych lodowisk piszą z emfazą o klasycznych sztucznych lodowiskach jako o „bombach ekologicznych z opóźnionym zapłonem”, w których „korozja elementów stalowych może spowodować niekontrolowany wyciek solanki lub amoniaku, co dla centrum miast jest ogromnym

kłopotem”. Wskazują na trwałość, oszczędność energii elektrycznej i wody. Ich konkurenci nie pozostają dłużni, alarmując, iż podczas jazdy na takim lodowisku ostre krawędzie łyżew tną polietylenowe panele uwalniając mikroplastik. Czas na szermierkę na ślady węglowe. Kto wie, może wzajemna wymiana ciosów sprawi, iż ktoś zawyrokuje o zgubnym wpływie tej formy ludzkiej aktywności na planetę?

Wspominam swoje szkolne lodowisko na lubelskiej Kalinowszczyźnie sprzed czterdziestu laty. Śnieg sprzymowiony wokół asfaltowego boiska stanowił bandy, brzegi swoistej niecki wypełnianej wodą wylewaną szlauchem. Miał w tej robocie swoje zadanie mróz, mieli i ludzie. Wieczorami, gdy ten pierwszy mocą swą natężał, ci drudzy wylewali kolejne litry monotonu diwodoru, by układać kolejne warstwy lodowej tafli. Potem by ją wygładzić (kto wtedy słyszał o specjalistycznych maszynach zwanych od nazw swych producentów rolbą czy zam-boni) polewano lód gorącą wodą i przeciągano po nim na specjalnym stelażu płachtę starego dywanu. Ten nasiąknięty wodą swym ciężarem wygładzał wszelkie nierówności, dzięki czemu lodowisko nadawało się nie tylko do naszych codziennych zabaw, ale było też areną sportowych międzyszkolnej rywalizacji. Śmigaliśmy po lodowisku, każdego zimowego wieczora nieświadomi podobieństw do dziesiątek pokoleń sycących się swobodą, pędem i lekkością lodowego ślizgu. Na łyżwach z lubością spędzali czas królowa francuska Maria Antonina, niemieccy poeci Friedrich Gottlieb Klopstock i Johann Wolfgang Goethe czy wreszcie Napoleon Bonaparte. Ten ostatni, jeszcze jako student Ecole Militaire, swej pasji omal nie przeplacił życiem, kiedy załamał się pod nim lód na zamrożonym kanale opodal Auxerre.

W Polsce ślad pierwszych zabaw na lodzie to, jak pisze na stronie Polskiego Związku Łyżwiarstwa Szybkiego Dariusz Tchórzewski, rok 1702, kiedy to w podwarszawskiej wsi Powązki (tak, tak, w tych Powązkach, na terenie których 88 lat później zostanie ufundowana jedna z najsłynniejszych polskich nekropolii) urządzono zabawę na cześć księżnych Radziwiłłowej i Czartoryskiej. Zwyczaj ów musiał się przyjąć, skoro w 1845 r. „Kurier Warszawski” informował, iż: „U nas w przyjemnych Powązkach, na miejscu zwanym — Izabelin, urządzono bardzo starannie ślizgawkę. Na tę zabawę licznie przybywają

FOTO: 1920 r. Polona.



FOTO: Pieter Bruegel. Wikipedia.

Warszawianie, zwłaszcza, że w przyległych pokojach można dostać różnych posiłków potrawnych i napojowych. Widziano też w Izabelinie ślizgających się nie tylko Kawalerów, ale nawet i Damy”. Pierwsze zawody łyżwiarskie rozegrano natomiast w naszym kraju już w roku 1755, kiedy to król August III wyznaczył nagrodę w wysokości 200 tynfów temu, kto „najprędzej przebieży na łyżwach” trasę od Saskiej Kępy do Solca. W serii odbywających się przez cały tydzień wyścigów triumfowała dworska garderobiana, której imię zapisano jako Szarlotka. Sądząc po imieniu, być może była Francuzką. Jeśli się nie mylimy, nie dziwi, iż w pokonanym polu pozostawiał mężczyzn (drugie miejsce zajął królewski kamerdyner) Wedle historyków łyżwiarstwo zawędrowało nad Sekwanę z Holandii.

Bo też mieszkańcom Niderlandów należy się palma pierwszeństwa w sztuce jazdy po lodzie (przyznawali to nawet nasi przodkowie używając terminu „holendrowanie”, na określenie umiejętności jazdy na łyżwach po łuku). Na bagnistych nizinach tej krainy zamarzające zimą rozlewiska, rzeki i kanały ułatwiały od najdawniejszych czasów komunikację. Nim wypracowano znaną nam dziś technikę jazdy, poruszono się na kościanych płozach odpychając się kijem. Z czasem kościane płozy zastąpiły drewniane, do których poczęto

przytwierdzać metalowe taśmy. Nie wiemy, kiedy umiejętność przemierzania lodowej tafli zyskała walor zabawy. Kiedy podziwiamy „Zimowy pejzaż z łyżwiarzami i pułapką na ptaki” i „Myśliwi na śniegu” Petera Bruegla nie mamy wątpliwości, iż już w XVI stuleciu przydawała kolorów szarym dniom mroźnej holenderskiej zimy. Swoją drogą ma rację Waldemar Łysiak pisząc, iż ten drugi obraz to bezkonkurencyjny wizerunek tej pory roku. Choć zachwycam się sposobem malowania śniegu przez Juliana Fałata w „Powrocie z niedźwiedziem z polowania”, starszy, mniej iluzjonistyczny obraz niderlandzkiego mistrza przeszywa chłodem. „Wdychamy to ostre, mroźne powietrze. Słyszymy tę trzaskającą ciszę lodowo-śnieżną. Każdy centymetr, każdy element, każda połać obrazu śpiewa melodię zimową par excellence”. Mówi się, iż Peter Bruegel portretuje świat z kosmicznej, boskiej perspektywy (podobnie swych bohaterów filmował Alfred Hitchcock), ale mnie зда się, iż jestem w kolejnej grupie powracających myśliwych. Schodzę ze wzgórz, dzielę ich zmęczenie, czuję zgrabiące dłonie i pot na plecach. Jacek Kaczmarski, prawem poety sięga dalej. Zamarznięte sadzawki, na których bawią się mieszkańcy wioski, to w wierszu „Pejzaż zimowy” pretekst do rozważań o przewrotności ludzkiego losu i naszego pojmowania świata:

*Ludzie słabi, ludzie bezradni  
Odstający w tłumie łyżwiarzy  
Piruetem na mroźnej zapadni  
Ocalają barwy swych twarzy;  
Niewidoczni, nieważni, niezgrabni.  
Ludzie wielcy – ludzie nadludzie,  
Co pojęli Kosmos i Boga,  
W rozśniewionej się puszą tancbudzie  
Na ułomnych wsparłszy się nogach  
Krok mylących na lodzie, na złudzie.  
Zgrzyta łyżwa, trzeszczy przyszła kra...  
Życie trwa.*

Motyw zabaw na kruchym ze swej istoty lodzie kryje w sobie przyganę niefrasobliwości. W obliczu trudu innych może zdać się nawet czymś niestosownym. Jak pisał holenderski historyk i eseista Johan Huizinga „Zabawa stanowi w naszej świadomości antytezę powagi”. Dla mieszkańców wioski jest rodzajem nagrody, chwilowym oderwaniem się do codzienności, sposobem zapomnienia o tym co trudne. Jeszcze raz cytując autora „Jesieni średniowiecza” zabawa „wnosi w niedoskonały świat i zawiałość życia ograniczoną w czasie doskonałość”. Swoboda jaką dają łyżwy w przemierzaniu lodowych tafli, ów pęd, chwilowe zapomnienie pozwala, tak jak w przypadku innych zabaw, wyrażać siebie. Dotknąć nienazwanego. Może dlatego Holendrzy mimo budowy licznych sztucznych lodowisk do dziś nie zarzucili jazdy po zamrażniętych kanałach, jeziorach, sadzawkach?

Od lat mieszkańcy Holandii, kiedy pogoda pozwala, biorą udział w Elfstedentocht, czyli Wyścigu Jedenastu Miast. Trasa licząca 199 km biegnie przez naturalnie zamrażnięte zbiorniki wodne pętłą od Leeuwarden, przez Sneek, IJlst, Sloten, Stavoren, Hindeloopen, Workum, Bolsward, Harlingen, Franeker, Dokkum, by znów wrócić do stolicy Fryzji. Każdy z uczestników wyścigu otrzymuje kartę, na której przybijane są pieczętki potwierdzające bytność w każdej z miejscowości. Dodatkowo na trasie znajdują się trzy nieoznakowane miejsca kontroli, gdzie karty łyżwiarzy są dziurkowane, by wykluczyć wszystkich, którym przez myśl by przeszło oszukiwać organizatorów. Na wszystkich, którzy ukończą wyścig czeka nagroda w postaci okolicznościowego orderu zwanego Krzyżem Jedenastu Miast. Do tej pory ów honor spotkał 86 tysięcy uczestników. Jak bardzo Holendrzy cenią sobie to odznaczenie, niech świadczy fakt, iż obecny

król Holandii, książę Orański-Nassau, dziedzic Amsbergu, Willem-Alexander dumnie prezentował je przypięte do piersi podczas uroczystości swej intronizacji w kwietniu 2013 r.

Pomysłodawcą wyścigu był Pim Mulier, pionier współczesnego sportu w Niderlandach. W grudniu 1890 r. sam przemierzył na łyżwach trasę łączącą jedenaście miejscowości. Zainspirował go wiersz Boelardusa Augustinusa van Boelensa „Zima w trzech pieśniach”, w którym łyżwiarz o imieniu Pier wzorem jaskółki jednego dnia odwiedził jedenaście miast Fryzji. Mulier, który szybko znalazł naśladowców, postanowił powołać stowarzyszenie i temu, co do tej pory miało charakter wycieczki, nadać formę wyścigu. Pierwszy odbył się 2 stycznia 1909 r. Wzięło w nim udział 48 uczestników a zwyciężył z czasem 13 godzin i 50 minut Minne Hoekstra, pastor, fotograf i rysownik w jednej osobie. Jako się rzekło wyścig uzależniony był od kaprysów pogody, stąd jego druga edycja miała miejsce dopiero w 1912 r. Pogoda 7 lutego była iście wiosenna, stąd z 165 zarejestrowanych uczestników na starcie pojawiło się tylko 65 łyżwiarzy. Do mety dotarło ledwie dwudziestu, pod kilku osobami załamał się topniejący lód. Na szczęście obyło się bez tragedii. W historii wyścigu były też edycje, w których zmagano się z tężejącym mrozem. W 1929 r. zwycięzca Karst Leemburg okupił swój sukces amputacją odmrożonego palca u nogi. Mróz sięgający -18°C zdziesiątkował też peloton uczestników wyścigu w 1963 r. Spośród blisko 10 tysięcy uczestników do mety dotarło 126. Tamta rywalizacja stała się kanwą dla filmu „De Hel van '63” czyli „Piekło '63”.

Lodowe i wietrzne piekło, na którym grabieżą dłonie, zamrażają powieki a brody i wąsy pokrywają się białym szronem. Ten obraz miałem gdzieś w sobie głęboko zapisany, choć nie od razu potrafiłem go rozpoznać, umiejscowić na mapie pamięci. Przewertowałem swoje archiwum. Znalazłem! Znalazłem zupełnie zapomniany polski epizod związany z Wyścigiem Jedenastu Miast. W jednym z numerów nieistniejącego już niestety tygodnika „Sportowiec” z marca 1985 r. znalazło się miejsce na reportaż „Holendrowanie” pióra Jana Okulicza. Oto Holendrzy oczekujący od 22 lat na właściwe warunki pogodowe, które umożliwiłyby rozegranie kolejnego wyścigu zwrócili się o pomoc do Polaków. Poszukiwali alternatywnej lokalizacji



FOTO: 1985 rok, finał Elfstedentocht. Wikipedia.

korzystając z kontaktów nawiązanych przed laty podczas kolarskiego Wyścigu Pokoju. Impreza planowana początkowo na 1200 osób finalnie gromadzi około 150 gości z Holandii. Część, już z drogi, zawróciła do swojej ojczyzny, bo pogoda okazała się łaskawa i 21 lutego wyczekana trzynasta edycja Elfstedentocht doszła jednak do skutku. Jak pisał autor reportażu „Tych, którzy wybrali w roku 1985 nasz kraj, ominęło wielkie święto, ale spotkała za to przygoda znacznie bardziej pasująca do zimowych przygód bohaterów Jacka Londona”. Przygotowana trasa liczyła 200 km „Bieg odbywa się w Giżycku na Kisajnie z wyjściem na Jezioro Dobskie. Pierwsze wrażenie jest wspaniałe. Wielkie zaśniewione jezioro, słońce, które wreszcie przebiło się przez mgły, śnieg aż kłuje w oczy. Ale następują chwile gorsze. Pierwsi Holendrzy z trudem rozpędzają się po nierównym zaśniewionym torze.” Kolejne akapity reportażu to pouczający opis perypetii związanych z niemożnością właściwego przygotowania trasy wyścigu. Niezrozumiałych dla Holendrów, ale i współczesnego czytelnika nieznanego realiów PRL-u.

Jako że nie ma przeszkód do niepokonania mazurski wyścig doszedł do skutku i zostawiły ślad w mej pamięci. Tymczasem mieszkańcy Fryzji już 27 lat czekają na to, by kolejny raz pokonać trasę wiodącą przez 11 miejscowości. Ostatnia, piętnasta edycja wyścigu miała miejsce w 1997 r. Uczestniczyło w niej 301 wyczynowców

i 16 387 amatorów a blisko 11 milionów widzów śledziło jego przebieg w telewizji i na trasie. Czekają na mróz, który skuje lodem niziną krajinę. Czekają by wzuć łyżwy i puścić się ślizgiem przed siebie. Miejmy nadzieję, że tej zimy im się uda. Pewnie niektórzy z nich będą sobie tego życzyć przy świątecznym lub noworocznym stole.



## Adam Przystupa

Autor Felietonów, Dyrektor ds. Środowiska i Relacji Zewnętrznych Kom-Eko, jest wnikliwym, pełnym humoru obserwatorem rzeczywistości.

Kochający życie rodzinne, dużą i małą Ojczyznę, Człowiek o ogromnej kulturze osobistej, miłośnik historii, dobrej literatury i muzyki Knopflera, zaangażowany w działania ekologiczne w Lublinie.

więcej felietonów  
Adama Przystupy  
można przeczytać  
na stronie  
www.kom-eko.pl





DR ROMUALD MIKUSEK

# PAPUGI

## Australia papugami stoi

Przyrodnicy odwiedzający nowe lądy czy kraje, zawsze na koniec wskażą organizm, którego spotkanie sprawiło im największą frajdę, po czym mogli zawołać jak Juliusz Cezar: veni, vini, vici. I wrócić do kraju z poczuciem spełnienia. Podczas trzymiesięcznego pobytu w Australii co chwilę inny organizm wyprzedzał peleton na mojej liście priorytetów. Raz był nim strojny i doskonale imitujący głosy sąsiadów lirogon, innym razem sownica wielka, która z pewnością siadłaby mi nocą na głowie, gdybym się akurat nie poruszył. Wśród pretendentów znalazł się też krytycznie zagrożony kulik syberyjski – ptak siewkowy o gigantycznym dziobie, który przyleciał z lęgów syberyjskich, w innych dniach prym wiodł paszczak australijski, będący jakby skrzyżowaniem lelka i sowy, zwany po angielsku „australijską żabią paszczą”. Albo też skryty wodnik kusy z rzędu żurawinowców, „buszujący w buszu” i rzadko tylko widywany, który pewnego dnia parę metrów ode mnie urządził sobie radosną kąpiel w resztkach wody w kałuży.

Wśród tej rzeszy ptaków na podium przewijały się codziennie papugi różnej maści i wielkości, od najmniejszej, towarzyskiej papużki falistej po ogromną żałobnicę żółtosterną, która w locie bardziej przypomina naszego ptaka szponiastego - błotniaka niż papugę właśnie. Właściwie każde spotkanie z papugami było wyjątkowym przeżyciem i dla nich tylko warto odwiedzić ten kontynent. Dzielimy je na dwa rzędy papug, Starego (Psittaculidae) i Nowego Świata (Psittacidae), które liczą odpowiednio 201 i 177 gatunków. Warto wiedzieć, że Australia, obok Nowej Gwinei, jest ich najważniejszą krainą, zamieszkałą przez 54 gatunki. Połowa z nich żyje na terenach innych niż te, które odwiedziłem, więc spotkanie z „zaledwie” 16 gatunkami papug i tak uważam za sukces. I nie dlatego tylko, że są gadatliwe, kolorowe, inteligentne i wobec siebie czułe, o czym raczej wszyscy wiedzą. Zaskoczyły mnie też bardzo swoją ruchliwością i sprawnością, pokazując każdym machnięciem skrzydeł, jak istotna jest dla nich przestrzeń. A nawet

FOTO: Autor.

wbrew przekonaniom bardzo miłymi dla ucha zawołaniami, więc nie wierzcie w to, że wszystkie papugi skrzeczą. Kakadu różowa, która nosi piękną, angielską nazwę Galah (szkoda, że polscy nomenklatorzy częściej nie sięgają do tego typu źródeł) raduje się przestrzenią, wykonując karkołomne slalomy między potężnymi pniami eukaliptusów z zadziwiającą zwinnością. Kakadu żółtoczuba trzymają się w stadach liczących wiele dziesiątek ptaków. Na czas lęgów tworzą kolonie i w ramach popisów wzbijają się wysoko nad ziemię, gdzie łatwiej je usłyszeć niż zobaczyć, by w pewnym momencie zanurkować z półotwartymi skrzydłami wyhamowując dopiero tuż nad czubkami drzew. Muszę wspomnieć też o kakadu krasnogłowej, którą Anglicy nazywają Ganggang Cackatoo. Ma prawie nigdy nie siadać na ziemi, jednak stadko żerujące na nasionach traw też zdarzyło się nam spotkać. Zabawnie się odzywa, bo gdy uświadomisz sobie, że przypomina to odgłos starej, zardzewiałej na zawiasach skrzyni, to już zawsze ją rozpoznasz. Moim faworytem jeśli chodzi o głosy jest chyba jednak rozella białolica. Miły dla ucha, melodyjny i wysoki gwizd pee-pee-pee z pewnością nikt nie skojarzy z papugą. Tak odzywają się samce zapraszające samice do odwiedzenia dziupli, którą mają w ofercie.

Przyznam, że zawsze niechętnie zaglądam do klatek z papugami w ogrodach zoologicznych, nawet gdy mają w nich całkiem przyzwoite warunki. Teraz, po australijskich doświadczeniach, będzie jeszcze trudniej spojrzeć papudze siedzącej w klatce w oczy bez cichego... „przepraszam”. Z drugiej strony zdaję sobie oczywiście sprawę, że część z nich trzymany jest tu w ramach programów ratowania gatunków a niektóre wręcz wymarłyby, gdyby nie pomoc człowieka. No cóż. Z pewnością nie wszystkie wymagają tego rodzaju „troski”.

**dr Romuald Mikusek**

[www.rmikusek.pl](http://www.rmikusek.pl)



GRZEGORZ CHWIŁKA

# Oszustwa w Black Friday

FOTO: Adobe Stock.

## Nie daj się nabrać scammerom!

Black Friday to wydarzenie, które może być świetną okazją do polowania na najlepsze wyprzedaje w roku, szczególnie w obszarze elektroniki, gier i gadżetów. Jako że coraz chętniej robimy zakupy w internecie, powinniśmy mieć świadomość czyhających tam zagrożeń.

Większość prób phishingowych jest grubymi nićmi szyta i łatwa do rozpoznania, jednak w niektórych przypadkach konieczny jest dodatkowy wysiłek, aby wykryć bardziej wyrafinowane próby fałszerstwa. Przestępcy internetowi zdają się coraz częściej wykorzystywać nowoczesne metody, wymagające od użytkowników większej czujności i staranności w analizie otrzymywanych komunikatów.

Co można zrobić, by nie dać się oszukać w ferworze sezonowych zakupów i mieć pewność, że wyczekane promocje Black Friday wyjdą nam na dobre? W tym artykule podpowiadamy, jak rozpoznawać oszustów i nie dać się nabrać na chywy cyberprzestępców w Black Friday, ale też w inne okresy dużych wyprzedaje i promocji.

### Czego chcą oszuści?

#### 1. Zbieranie informacji

Wiele oszustw ma na celu zbieranie poufnych danych osobowych, takich jak: Imiona, adresy i numery telefonów: Często zbierane za pomocą fałszywych ankiet lub oszukańczych formularzy „prezentowych”.

**Dane logowania:** Są one rozsyłane za pomocą wiadomości e-mail phishingowych, podszywających się pod zaufane marki, np. Amazon, Google, Dropbox. W ten sposób ofiary są nakłaniane do wprowadzania danych konta na fałszywych stronach internetowych.

**Informacje bankowe i finansowe:** Zbierane za pośrednictwem złośliwego oprogramowania lub fałszywych stron płatności w fałszywych witrynach e-commerce.

Posiadając te informacje, oszuści mogą kraść tożsamość, tworzyć fałszywe konta lub sprzedawać dane na rynkach w ciemnej sieci.

#### 2. Kradzież pieniędzy

Wiele oszustw ma na celu uzyskanie dostępu do środków pieniężnych ofiar poprzez: Oszukiwanie użytkowników w celu dokonania fałszywych zakupów: Fałszywe strony internetowe oferujące luksusowe towary, takie jak torby Louis Vuitton czy okulary przeciwsłoneczne Ray-Ban, oszukują użytkowników i nakłaniają ich do płacenia za produkty, które są albo podróbkami, albo nigdy nie zostały dostarczone.

**Kampanie złośliwego oprogramowania:** Trojany bankowe, takie jak Grandoreiro, umożliwiają nieautoryzowane transakcje finansowe poprzez kradzież danych uwierzytelniających bankowość.

**Oszustwa ankietowe:** Kampanie podszywające się pod znane marki nakłaniają użytkowników do podawania danych płatniczych pod pretekstem odbierania nagród.

## Jak się ustrzec przed oszustami w Black Friday?

**1. Najpierw sprawdź sprzedawcę** - Jednym z podstawowych sposobów na uniknięcie fałszywych stron internetowych jest sprawdzenie adresu URL przed przeglądaniem witryny, aby upewnić się, że jest ona legalna. Dodaj swoje ulubione sklepy do zakładek, aby przejść do właściwej witryny w celu uzyskania bezpiecznych ofert Black Friday. Sprawdzaj nowych sprzedawców detalicznych przed skorzystaniem z ich usług po raz pierwszy. Klikaj linki w postach i profilach w mediach społecznościowych lub wiadomościach e-mail tylko wtedy, gdy masz pewność, że są one autentyczne.

**2. Wypatruj sygnałów ostrzegawczych** i sprawdzaj adresy HTTPS. - Podczas nawigacji na stronie internetowej należy sprawdzać znaki ostrzegawcze, takie jak błędy ortograficzne, wolny czas ładowania i nietypowy wygląd. Sprawdź adresy URL zaczynające się od HTTPS (zamiast HTTP) i ikony kłódki, ponieważ oznacza to, że witryna korzysta z szyfrowania SSL.

**3. Uważaj na podejrzenie dobre oferty** i niespodzianki. Nie należy spieszyć się z realizacją zamówień na mocno przecenione produkty bez sprawdzenia, czy są one realne. Oceniaj również oferty darmowych kart podarunkowych, ponieważ mogą one być formą phishingu.

**4. Korzystaj z bezpiecznych metod płatności** - Płać za zakupy online za pomocą jednorazowych kart wirtualnych - większość banków oferuje darmowe karty wirtualne. Upewnij się, że strony płatności w sklepie, na których wprowadzasz dane swojej karty, są bezpieczne.

**5. Regularnie monitoruj wyciągi** bankowe - Ponieważ liczba zakupów dokonywanych w krótkim czasie może wzrosnąć, łatwo jest przeoczyć nieuczciwą transakcję. Dlatego tak ważne jest sprawdzanie transakcji bankowych pod kątem wszelkich podejrzanych płatności.

**6. Unikaj podejrzanych okazji** i zbyt niskich cen - Jeśli oferta sprzedaży wygląda zbyt dobrze, aby mogła być prawdziwa - prawdopodobnie tak jest. Porównaj ceny tego samego produktu oferowane przez różnych sprzedawców i unikaj tych, które są zbyt niskie. Skoncentruj swoje zakupy na renomowanych sprzedawcach detalicznych, którzy mają prawdziwe rejestracje firm, adresy i dane kontaktowe.

**7. Aktywuj uwierzytelnianie dwuskładnikowe** - Włączenie uwierzytelniania wieloskładnikowego na urządzeniu i kontach w sklepie internetowym może uniemożliwić cyberprzestępcom uzyskanie dostępu, nawet jeśli uzyskają oni nazwę użytkownika i hasło. Wynika to z faktu, że konto będzie również wymagało jednorazowego kodu lub skanu biometrycznego, aby zakończyć proces logowania.

### Co robić, jeśli trafisz na oszusta?

Jeśli zdarzy się, że mimo wszystko padniesz ofiarą scammera, pamiętaj, by wykonać kilka czynności, które pozwolą Ci zminimalizować szkody i uniknąć kolejnych oszustw.

**1. Zgłoś nadużycie lub próbę oszustwa** - Koniecznie skontaktuj się z władzami i poinformuj o oszustwie. Wyjaśnij, jak do niego doszło, by pomóc władzom wyśledzić sprawcę.

**2. Skontaktuj się z bankiem** lub wystawcą karty kredytowej - W przypadku złożenia zamówienia na fałszywej stronie internetowej lub finalizacji transakcji z konta bankowego, należy szybko zgłosić ten fakt do banku lub wystawcy karty kredytowej i zażądać zwrotu pieniędzy. Wydawca karty zablokuje oszusta i prawdopodobnie wyda Ci nową kartę z nowym numerem i datą ważności. Jeśli padniesz ofiarą oszustwa związanego z kartą podarunkową, natychmiast skontaktuj się z wydawcą. Czas ma znaczenie - im szybciej podejmiesz działania, tym większa szansa na odzyskanie środków.

**3. Zmień hasła dostępu** - Jak najprędzej pozmieniaj hasła i loginy na stronach sklepów internetowych, ponieważ prawdopodobnie zostały przejęte przez scammerów. Usuń wszelkie zapisane dane dotyczące płatności i przez jakiś czas monitoruj konto, na wypadek gdyby pojawiły się na nim jakieś podejrzane transakcje.

**4. Monitoruj wyciągi z kart** - Jeśli scammerzy przejęli Twoje dane osobowe, mogą posunąć się do kradzieży tożsamości. Regularnie sprawdzaj wyciągi z kart, by upewnić się, że nie zaciągnięto pożyczki na Twoje nazwisko.

## Grzegorz Chwiłka

Dyrektor IT Grupy KOM-EKO.

# Zadać szyku w karnawale

ADAM PRZYSTUPA

Jest taki czas, kiedy nawet koneserzy piosenek z tekstem dają się uwieść melodii. Czas karnawału, czas zabawy, czas tańca. Czas chwilowego odwrócenia porządku świata. Dziś mocno zatarty w kalendarzu, bo współczesna kultura zdążyła już dawno zanegować wszystko i karnawał nie jest jej do tego potrzebny. Jeśli więc współczesne taneczne rytmy rozpalają parkiet przez rok cały, czemu w ten czas między wspomnieniem Trzech Króli a Środą Popielcową nie zaproponować czegoś zgoła klasycznego? A jeśli cofać się do standardów, to do tych z nieprzemijającym znakiem jakości. Zadajmy więc szyku, wracając do wydanego przeszło dwa lata temu koncertowego albumu „Ella At The Hollywood Bowl: The Irving Berlin Songbook”.

Ella Fitzgerald „Pierwsza dama piosenki”, która potrafiła zaśpiewać wszystko od jazzu i bebopu po ballady, swing, pop i rock, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku nagrała osiem dwupłyty albumów w cyklu „songbooków”, czyli rzecz można, śpiewników przedstawiających ikoniczne interpretacje najpopularniejszych amerykańskich piosenek, który wyszły spod rąk takich autorów, jak Cole Porter, Richard Rodgers and Lorenz Hart, Duke Ellington, George and Ira Gershwin, Harold Arlen, Jerome Kern, Johnny Mercer a także Irving Berlin. Któż inny zasługiwał bardziej na to, by je unieśmiertelić, zapisać w zbiorowe pamięci, jeśli nie wokalistka, której wokale obejmował trzy oktawy,



cechował się wyjątkową czystością dźwięku, wycuciem intonacji i nieskazitelną dykcją. Dziewczyna, która swoim talentem urzeczywistniła amerykański mit wybijając się z nędzy Harlemu do luksusów Beverly Hills.

Dziewczyna, która rozpoczynając swą karierę w kraju, w którym wciąż żywe były podziały rasowe, stawiała im czoło i skradła serca zarówno czarnej, jak i białej publiczności, co wcale nie było wówczas tak oczywiste. Artystka, która powtarzała „Nie ważne skąd przychodzisz, ważne dokąd zmierzasz”. Mówiono, że nie boi się wyzwania, że jej interpretacje cechują swing, elegancja i wirtuozeria. Swingu uczyła się Ella śpiewając w orkiestrze Chicka Webba, potem, gdy w latach czterdziestych nadeszła era bebopu występując z zespołem Dizzy’ego Gillespiego zrewolucjonizowała jazzową wokalistykę wypracowując powszechnie dziś używaną technikę „scatu”. Jako jedna z pierwszych zaczęła używać swego głosu jako instrumentu i do dziś jej nagrania zawstydają licznych naśladowców, bo robiła to w sposób naturalny, nieprzerysowany, nie zamęczając słuchaczy nadmiarem melizmatów i ozdobników. Zaiste, nikt inny nie nadawał się lepiej do tego, by pomóc stworzyć kanon muzyki popularnej. „Nigdy nie wiedziałem, jak dobre są nasze piosenki, dopóki nie usłyszałem, jak śpiewa je Ella Fitzgerald” miał rzec Ira Gershwin.

Album studyjny z kompozycjami Irvinga Berlina Ella nagrała w 1958 r. z orkiestrą pod

dyrekcją Paula Westona. Trzydzieści jeden utworów człowieka, o którym słynny kompozytor George Gershwin powiedział, iż „jest największym autorem piosenek, jaki kiedykolwiek żył”. Co ciekawe, nie znalazł się w tym zbiorze ten, który w największym stopniu przyniósł mu muzyczną nieśmiertelność, czyli „White Christmas”. Berlin miał rzec nieskromnie, że to nie tylko najlepsza piosenka, jaką kiedykolwiek napisał, ale to najlepsza piosenka, jaką kiedykolwiek napisał, ale i bez niej album „Ella Fitzgerald Sings the Irving Berlin Song Book” przyniósł Elli nagrodę Grammy. Ten sukces sprawił, iż słynny impresario



FOTO: Za zgodą Universal Music Polska.

rio jazzowy i założyciel wytwórni Verve Norman Granz zdecydował się na to, by wokalistka odtworzyła podczas występu na żywo repertuar nagrany w studiu. Dziś takie rzeczy się zdarzają, ale wówczas nikt na to się nie ważył. Wybrano piętnaście utworów ponownie zaaranżowanych przez Paula Westona. Koncert miał miejsce 16 sierpnia 1958 r. w Los Angeles w amfiteatrze Hollywood Bowl. Taśmy z nagraniami odnaleziono po latach w prywatnym archiwum Granza i odświeżone dzięki współczesnej technice udostępniono słuchaczom.

Zadajmy więc szyku i oddajmy się muzyce, która miała sznyt elegancji. Piszę zadajmy szyku nawiązując do obecnego na płycie wielkiego

przeboju „Puttini’ On the Ritz”. Wyrażenie „to put on the Ritz” należałoby tłumaczyć jako zachętę do ubrania w się w sposób odpowiedni, by przekroczyć progi hotelu Ritz. Hotelu, którego nazwa już sto lat temu była synonimem luksusu. Ta bravurowo wyśpiewana przez Ellę piosenka z misternie synkopowanym refrenem była początkowo satyrą na zachowanie ubogich mieszkańców Harlemu, wdzierających w sobotę po pracy najbardziej eleganckie ubrania, by przespacerować się Lenox Avenue lub zapomnieć o trudach tygodnia na tzw. zabawie czynszowej - prywatnych spotkaniach organizowanych w mieszkaniach, z których zebrane dochody często przeznaczano na czynsz gospodarza. W naszych realiach najbliższe przekazem byłoby powiedzenie o wystrojeniu się niczym stróż w Boże Ciało. Równie ironiczne, ale zawierające też w sobie trudno skrywaną nutkę zazdrości i podziwu. Cóż, nie od dziś wiadomo, iż to co nosimy może wpływać na nasze samopoczucie i pewność siebie. Stąd zachęta: „Jeśli jesteś smutny i nie wiesz dokąd iść. Dlaczego nie pójdziesz tam, gdzie króluje moda? Ubierz się jakbyś szedł do Ritz”. Uniwersalność tych zachowań potwierdza „Top Hat, White Tie and Tails” z repertuaru Freda Astaire. Trudno wyobrazić sobie Ellę w formalnym stroju wymaganym na zaproszeniu: cylindrze, białym krawacie i fraku, ale odczytujemy w jej śpiewie ekscytację nadchodzącą zabawą: „Wychodzę kochanie poodychać tą atmosferą. To po prostu cuchnie kasą. Ufam, że wybaczysz mi trochę kurzu, gdy dodam gazu.”

Jeśli nieco inaczej poukładać ów występ w amfiteatrze Hollywood Bowl mógłby się stać opowieścią o karnawałowym zapamiętaniu. Z piosenek Berlina przebija zachwyt tańcem, co nie powinno dziwić, jeśli zważyć, iż niemal każda z nich towarzyszyła tanecznym popisom na srebrnym ekranie. „Let Yourself Go” w 1936 r. wyśpiewała Ginger Rogers w filmie „Follow the Fleet” („Jeśli wyjdiesz na parkiet, zapomnisz o swoich kłopotach”), „Let’s Face the Music And Dance” wytańczyła u boku śpiewającego Astaire’a („Być może czekają nas kłopoty, ale póki jest muzyka, światło księżycy, miłość i romans, zmierzmy się z tańcem i muzyką”). To ledwie chwilowe i złudne remedium na troski, ale stać na nie każdego. By zapomnieć się w tańcu, odpłynąć, może sobie pozwolić „rzeźnik, bankier, urzędnik i sklepikarz”.



FOTO: Ella Fitzgerald. Wikipedia.

Ozdobą płyty jest, jakże by inaczej, brawurowe wykonanie „Cheek to Cheek”. Piosenki napisanej do musicalu „Top Hat”, piosenki, która o włos a dałaby Berlinowi drugiego Oskara. Piosenki roku 1935, która już rok później przywędrowała zza oceanu do Polski i została nagrana przez Adama Astona z towarzyszeniem orkiestry Henryka Golda. Polski tekst „W siódmym niebie” napisał wtedy Zenon Friedwald, autor słów m.in. „Tej ostatniej niedzieli”, ale mnie do gustu przypadł mniej dokładny późniejszy przekład Andrzeja Białusza wyśpiewany przez Ludmiłę Warzechę.

*„Nie wiem sama nie wiem  
Jak to jest że jestem w niebie, że w nim trwam  
Może to dlatego że tu ciebie mam  
Że tańczymy tu ze sobą sam na sam  
[...]  
Nie wiedziałam co to szczęście  
Do ostatniej chwili aż  
Ty w ramiona swoje wzięłeś mnie  
By tańczyć twarzą w twarz”*

Zwiewny slowfox zakochanych, którego kontynuacją zda się wolno kołysząca się, rozmarzona piosenka „How Deep is the Ocean”. Wyznanie nieśmiałe, wyznanie nie wprost, wyznanie oparte na pytaniach, na które nie trzeba odpowiedzi: „Jak bardzo cię kocham? Wyznam ci nie kłamiąc. Jak głęboki jest ocean? Jak wysoko sięga niebo?”. Kto czeka na odpowiedź wprost, otrzyma ją w innej balladzie „Always” niezwykle delikatnie wyśpiewanej przez Ellę Fitzgerald: „Będę cię

kochał, zawsze. Miłością prawdziwą, zawsze. Kiedy w swych planach będziesz potrzebować pomocy zrozumieć, zawsze”. To niezwykle, osobiste wyznanie Irvinga Berlina, który napisał tę piosenkę w 1925 r. jako prezent ślubny dla żony Ellin Mackay. Wyznanie, które sprawia, że świat wiruje w rytm tańca i nie straszna nawet nieprzyjazna aura za oknem, jak w kolejnej brawurowo wyśpiewanej przez Ellę musicalowej kompozycji „I’ve Got My Love to Keep Me Warm” („Cóż obchodzą mnie lodowe sopły, gdy mam swoją miłość, która mnie ogrzewa”).

Mógłbym tak dalej snuć tę wymaginowaną opowieść przez finał balu, którego uczestnicy nie przyjmując do wiadomości jego zakończenia wysypali się na ulice w rym „Alexander’s Ragtime Band” pierwszego hitu Irvinga Berlina (dynamiczna i brawurowa interpretacja Elli z euforyczną reakcją publiczności) po etap nostalgicznym wspomnień („Moje myśli powracają do cudownego tańca, chwili rozkoszy, która była nam dana”) w „The Song Is Ended (but the Melody Lingers On)”, ale bałbym się, że uronię inne warte zasłuchania się kompozycje: balladę „Supper Time”, kołysankę „Russian Lullaby”, swingujące „Heat Wave”, czy znane z hollywoodzkich produkcji „You’re Laughing At Me” i „Get Thee Behind Me Satan”. Każda z nich zachwyca wyśpiewaną czystym i radosnym głosem Elli Fitzgerald. Tej radości, nie tylko w karnawale, niezmiennie nam potrzeba.

PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA

# WIEDEŃSKI TORT ORZECHOWY

BARBARA CZAYKOWSKA-KŁOŚ

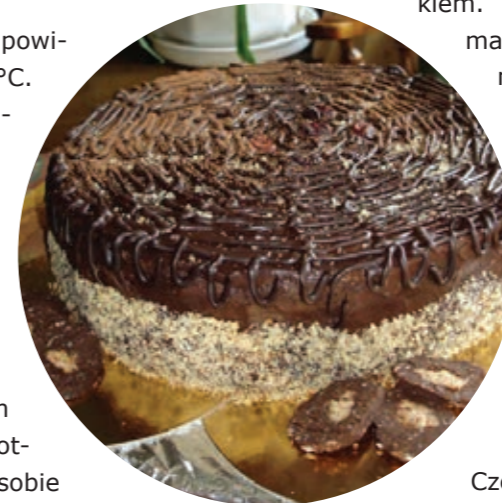
Ten jeden, jedyny raz w tym miejscu naszego kwartalnika zabraknie przepisu Beaty Groen, która wszakże obiecała powrócić na łamy gazety już w wiosennym numerze.

W zamian mamy dla naszych czytelników przepis pani Barbary Czaykowskiej-Kłoś, którą gościliśmy już w EKOgadce, jako autorkę wspaniałych książek „Historie kuchenne. O miłości rodzinie i sile tradycji” oraz „Historie kuchenne o miłości, rodzinie i sile tradycji. Czym chata bogata”. Polecamy!

## Składniki

**(na tortownicę o średnicy 22-24 cm):** 8 żółtek, 2 łyżki naturalnej wanilii, 15 dag cukru, szczypta soli, 8 białek, 10 dag tartego biszkoptu, 10 dag startej gorzkiej czekolady, 10 dag zmielonych orzechów laskowych, 5 łyżek sherry (może być inny dobry alkohol), 30 dag konfitury morelowej lub innej kwasowej, jeszcze raz 10 dag startej czekolady, 1 jajo, 20 dag cukru pudru, łyżka masła do wysmarowania tortownicy.

**Wykonanie:** Piekarnik powinien być nagrany do 180°C. Tortownicę smarujemy dokładnie masłem. Żółtka z połową cukru i wanilią ucieramy bardzo dokładnie jak klasyczny biszkopt. Kiedy żółtka są utarte, dodajemy – ostrożnie mieszając – ubitą na sztywno i usztywnioną pozostałym cukrem pianę. Można odwrotnie – tak nawet łatwiej osobie początkującej; najpierw ubijamy pianę, usztywniamy ją cukrem, potem dodajemy wanilię i po jednym żółtku ubijając dalej, a na końcu mieszamy delikatnie z mąką. Wsypujemy do biszkoptowego ciasta pokruszony biszkopt, startą czekoladę i zmielone orzechy laskowe. Wszystko razem bardzo delikatnie



mieszamy łyżką. Ciasto powinno być puszyste i lekkie. Przekładamy je do tortownicy, wyrównujemy powierzchnię i pieczemy około 40 minut. Dobrze upieczone charakteryzuje się tym, że odstaje lekko od boku formy.

Po upieczeniu ciasto powinno wystygnąć – odpocząć kilka godzin. Zimne kroimy na trzy placki i każdy nasączamy alkoholem. Dwa krążki smarujemy marmoladą lub konfiturą, układamy jeden na drugim i przykrywamy trzecim krążkiem. Można dodatkowo przełożyć masą migdałową albo gotowym marcepanem. Teraz kolejna czekoladę rozpuszczamy w kąpieli wodnej, w większym rondelku gotujemy wodę, na nim ustawiamy naczynie z czekoladą, rozpuszczamy ją trochę, bo dało się połączyć czekoladę z jednym całym jajkiem, cukrem pudrem i odrobiną masła (płaska łyżka). Czekoladową masę trzeba bardzo dokładnie utrzeć na jednolity krem, którym smarujemy wierz i boki tortu. Boki powinny być posmarowane gładko, ale wierzch można dowolnie ozdobić nożem, widelcem, łyżką, tworząc różnorakie esy-floresy i desenie.

FOTO: Za zgodą autorki.

ODPAD NA KOMPOST IMIĘ													9			PTAK NA RZECE		
		3				GRZYB							6			13		
						OBDARZA ZYCIEM												
		19																BAJDY

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Pierwsze 10 osób, które prześlą nam e-mailem prawidłowe hasło ułożone z liter z ponumerowanych pól, otrzymają nagrodę.

## Szanowni Państwo

Zarząd KOM-EKO S.A. składa Państwu serdeczne podziękowania za lata sumiennej i rzetelnej pracy, zaangażowanie w rozwój naszej Firmy, lojalność i uczciwość. Życzymy by nasza dalsza wspólna praca była dla Państwa źródłem satysfakcji i sukcesów. Nasze życzenia składamy w szczególności świętującym w czwartym kwartale 2024 roku jubileusze:

## 10-lecie

pracy w KOM-EKO:

Elżbieta Ogrodowska-Sadowska,  
Joanna Podgórska, Ewa Twardowska

## 15-lecie

pracy w KOM-EKO:

Andrzej Kozak, Tomasz Wójtowicz

## 25-lecie

pracy w KOM-EKO:

Zenon Żydek





FOTO: Redakcja. Zima na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie.